Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 14. Grudnia 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 46.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

Zgoda z Rossją.

Que messieurs les assassins commençent!

Zaraz w pierwszych dniach po Jubileuszu Kraszewskiego, pojawiły się w pismach rossyjskich sprawozdania, nacechowane w przeważnej części nienawiścią, pełne fałszów tendencyjnych a nie raz tak wściekłe, że były aż śmieszne. Przypomnijmy sobie, owo anektowanie rozmaitych naszych wielkości dawnych i obecnych.

Takie narzekanie i zgrzytanie trwało czas jakiś. Wtem, po paru tygodniach, jakby pod znak różczki czarodziejskiej, następuje zwrot na wszystkich punktach. Pojawiają się poprawne edycje sprawozdań z Jubileuszu, zupełnie odmiennej treści, a tu i owdzie z pośród banalnych opisów wytryskuje słów kilka o sprawie Polskiej, o potrzebie pogodzenia się, o konieczności zmiany dotychczasowego stosunku. Nareszcie zapomina się o Jubileuszu, a kilka najpoważniejszych pism wypowiada wprost, iż trzeba się nareszcie zająć sprawą polską, zająć na serjo, obmyśleć warunki ugody i rzeczywiście pojawia się kilka artykułów poważnie i ze spokojem napisanych, a przytem, co najdziwniejsza, bez żadnej zaciekłości.

Od lat szesnastu pierwsze to słowa jako tako ludzkie. Spotykamy nawet całe szumne a dźwięczne tyrady wprost ku Polakom zwrócone, zapytania, propozycje, na które odpowiedzi jak to sami dobrze wiedzą, mieć nie mogą. Odpowiadać tu ma nie Galicja i nie Poznańskie, ale sam rdzeń Polski, jej obszar największy, ziemie leżące nad Wisłą, Niemnem i Dźwiną, owe kilkanaście miljonów, którym przemówić nie wolno.

Wspomnienie w którymkolwiek polskim dzienniku o sprawie polskiej nietylko, że niezostałoby przez cenzurę puszczone, ale nawet redaktora zamkniętoby natychmiast do kozy.

Te więc allokucje Rossjan do Polaków są przemówieniami do człowieka który ma zakneblowane usta.

Niewątpimy, że w sferach inteligentniejszych Rossji zaczyna się przejawiać tu i owdzie poczucie sprawiedliwości, którego źródłem jest przedewszystkiem obawa. Pewnikiem jest, że ludzkość idzie naprzód, że w walce ze staremi formami postęp zdobywa coraz nowe obszary i że minął już czas kiedy szczep jakiś, jakąś narodowość można było wyplenić tak, żeby z niej się więcej żaden głos w historji decydujący nie odezwał. Można jeszcze naród utrzymywać w więzach siłą bagnetów, można gnębić go niesprawiedliwością, ale niepodobna wymazywać go z oblicza ziemi jakimś ukazem, niepodobna odebrać nadziei i wiary w lepszą przyszłość. Dziś każdy widzi jak wielkie fale cywilizacji naprzód się posuwają, jak swoboda coraz szersze obejmuje granice, mimo pozornych cofań się i upadków, jak niesprawiedliwość w obec porządku naturalnego mści się potem srogo, i dlatego bez obawy niesłusznie uciśnieni w przyszłość patrzeć mogą.

Powtarzamy zawsze, że zwątpić w przyszłość Polski, to zwątpić w postęp, zwątpić w tę potęgę nieprzełamaną, nieprzepartą, przed którą się wszysko ugina.

Te prawdy zaczynają kiełkować i w umysłach naszych odwiecznych wrogów. Zaczynają oni widzieć powoli bezowocność swych dzikich dragonad, widzą że nas zniszczyć nie zdołają a więc, że jeśli dzisiejsze stosunki się nie zmienią, zawsze w najbliższem swojem sąsiedztwie mieć będą pełnego tradycyjnej energji nieprzyjaciela, trzymającego się siłą przekonania o słuszności swej sprawy i wyższego dawniejszą i bardziej ugruntowaną cywilizacją.

To jedna przyczyna obawy.

A potem ściskać zaczynają Rossję żelaznym obręczem ze stron wszystkich. Przekonano się o bizantyjskiej fałszywości jej polityki i postanowiono raz położyć temu tamę. Przyszła chwila groźna, w której dla niej skupienia wszystkich sił potrzeba i rachowania się z najdrobniejszą okolicznością. Wewnątrz kraju gotuje się przewrot, na którego zgniecenie rząd wszystkie swe siły wytęża. Całe szerokie państwo jest jakby twierdza z zewnątrz oblężona a posiadająca i wewnątrz ukrytych, niewidocznych nieprzyjaciół.

W takiej chwili chcą z nami naprędce zawrzeć ugodę, żeby z tej strony mieć ręce wolne. Sądzą, że po tak wielkim ucisku, jedno dobre słówko zdoła nas zjednać, a sądzą na podstawie tej lekkomyślności z jakąśmy dawniej każdemu błahemu przyrzeczeniu wierzyli.

Tym razem jednak mylą się fatalnie.

Zanadtośmy już zebrali gorzkiego doświadczenia. Sromotnie byliśmy opuszczeni przez wszystkich i dziś trzeźwiej na rzeczy patrzeć umiemy. Na drodze spokojnej pracy naród się rozwija dalej, społeczne stosunki coraz zdrowsze, sztuka kwitnie, literatura i nauka rozrastają się na wielką skalę a dobrobyt przy pracy usilnej wracać zaczyna. Czujemy, że po strasznych klęskach i okropnym upadku, znowu sił nabierać zaczynamy i już teraz nie opierając się na nikim, rachując tylko na siebie, wierząc w postęp ludzkości i swobody, spokojnie czekać możemy. Słówka i obietnice nie wystarczają. Trzeba czynów.

To też niech zaczynają, a my się do okoliczności zastosujemy.

Kiedy we Francji dyskutowaną była z wielkim zapałem kwestja zniesienia kary śmierci, jeden z najdowcipniejszych feljetonistów Alfons Karr zrobił dowcip, który na zawsze złączonym zostanie z jego nazwiskiem. „Dobrze" powiedział, „znieśmy karę śmierci, ale niech panowie zbójcy rozpoczną!"

Otóż to zdanie, pominąwszy jego paradoksalne strony, możemy dać w odpowiedzi na rozmaite propozycje nam czynione:

Que messieurs les assassins commençent!

PALEJOWA CÓRKA

podanie ze stepów czarno-morskich.

przez

ZOFIĘ R.

Prześliczny był wieczór; wracaliśmy w licznem, młodem i gwarnem towarzystwie z dalekiej przechadzki po stepie. Gwiazdki migocąc, coraz liczniej wybiegały na niebiosa, i zdawało się tonęły w głębiach ciemnego szafiru. Rozległy horyzont, zakreślał się ogromnem — niczem, ani wzgórzem, ani lasem, nieprzerwanem kołem, i budził przez to wrażenie, iż znajduje się pod ogromną niebieską, złotemi gwiazdami utkaną kopułą. Noce na stepach, w okolicach czarnego morza, są prześliczne — ciepłe — ciche — woniejące zapachem ziół rozlicznych. Wśród nocy takiej budzi się w sercu najzimniejszem nawet, jakieś rzewne uczucie, powstaje gdzieś z dna duszy wszystko co przez życie przyniosło upojenie, tęsknotę i ból serdeczny — wszystkie krótkie chwile szczęścia, błyszczące w przypomnieniu jak barwne motylki — i serce rozrzewnione głębiej się korzy przed wielkim majestatem stwórcy i władcy niebieskich światów i czarnych przepaści morskich!

Noc taka majestatyczna otoczyła nas w powrocie z dalekiej przechadzki.

Wśród gwarliwego młodego towarzystwa, szłam cicho zamyślona pod urokiem, jaki rzuciły na mnie cienie tej woniejącej, tajemniczej, sierpniowej nocy w stepie. Aż zbudziło mnie uciszenie gwarnej rozmowy, i słowa, które już były widoczną odpowiedzią daną na poprzednie zapytanie.

— Tak jest, wszystkie osady są zakładane w zagłębieniach stepowych, to jest, jak się tu zowie w „bałkach", to też do każdej spuszcza się zwykle z dość stromej góry. Budowano się tak z powodu, że na wysokim stepie wody nigdzie nie ma, a powtóre, że w takiej „bałce" mieszkania ludzkie są więcej osłonione od wichrów, które wiosną i jesienią są bardzo dokuczliwe w stepie. Przed niedawnemi laty stepy tutejsze nie były tak zamieszkałe jak dzisiaj, i chociaż Katarzyna zakładała już kolonie niemieckie, przecież na te obszary było to niczem, i garstka ta Niemców gubiła się na tych bezmiernych równinach. Póki kolei żelaznej nie było, która dziś sercem stepów prowadzi do Odessy, mieszkańcy tutejsi żyć musieli jak odcięci od świata. Trudność też była niezwalczona w obrobieniu ziemi, która w on czas w większej części zostawała w pierwotnym stanie — niedotknięta rydlem ani pługiem. Dziś łatwość sprowadzenia ludzi, daje możność obrobienia i wyzyskania urodzajności tutejszej gleby. A przecież jest jeszcze wiele miejsc nietkniętych ludzką ręką.

— Bardzo to łatwo zrozumieć — odezwałam się — ponieważ i dziś jeszcze stepy te w porównaniu ze swym obszarem, bardzo mało zaludnione. Wy z tem oswojeni jesteście, ale nowego przybysza, brak ten ludności uderza na pierwszym wstępie. A co jest także oryginalne to, że nazwy osad tutejszych mają wszystkie, prawie bez wyjątku, żeńskie zakończenia, jak naprzykład, Hnilakowa, Altestowa, Palejowa.

— Gdyż — odpowiedział mi narator objaśniający o miejscowych stosunkach — nazwy te pochodzą jak podanie niesie, od zbójów i rabusiów kryjących się po bałkach i jarach, w owym czasie jeszcze, gdy miejsca te przez Arnautów były zamieszkałe, i napadających ztamtąd na kupców ciągnących z towarami z Owidiopola do Krymu. I tam naprzykład gdzie dziś leży Palejowa, krył się zbój Palej, i miejscowość ta, strachem przejmująca ówczesnych podróżnych, nazywała się „Palejowa bałka", później opuszczono „bałka" a Palejowa pozostało. Inne nazwy tutejszych osad muszą mieć ten sam początek.

— Toś ty nie słyszała o tem podaniu, w którem odegrywa rolę Palejowa i głęboki jar graniczący z Wolanowem? — zapytał mnie mój kuzyn.

— Nie, nie słyszałam — odrzekłam.

— Prosimy opowiedzić nam to podanie Wuju Karolu, prosimy bardzo — odezwało się jednogłośnie młode towarzystwo.

— Wiecie przecie, że powiadają, iż w głębokim jarze są zakopane ogromne skarby, sztaby złota i srebra, drogocenne klejnoty i pieniądze pochodzące jeszcze z owej epoki, gdy Owidiusz, nieubłaganym rozkazem cesarskim, wygnany ze słonecznej ojczyzny swojej, po długiej tułaczce osiadł w tych stronach, i założył miasto Owidiopol, gdyż do owych to czasów podanie odnosi zbója Paleja, rabującego przejeżdżających kupców z Owidiopola. Zrabowane na nich skarby zakopywał w głębokim jarze. Odkryć je przecież niepodobna, strzeżone są bowiem przez pokutującego ducha jego córki, i ona tylko może wskazać miejsce, gdzie są zakopane. Trzeba jednak pierwej, o północnej dobie, w noc miesięczną, pójść za jej marą i na miejscu, które było widownią krwawego mordu, zatknąć krzyżyk, chociażby z dwóch suchych badylków związany, ją w ten sposób wybawić z potępienia, otworzyć jej wrota niebieskie, na uchylenie się których już wiele setek lat oczekuje, a duch jej zato wskaże miejsce, gdzie są skarby ukryte.

— Że też nie znalazł się odważny, któryby próbował zabrać znajomość z tym Rothszyldem w świecie duchów — zażartował ktoś z towarzystwa.

— Nie tak to łatwo uczynić jak powiedzieć, spróbuj no tylko o północy przejeżdżać koło głębokiego jaru, a włosy dębem staną ci na głowie, gdy koń zacznie parskać i strzydz uszyma. Mówię to z własnego doświadczenia, bo gdym raz tamtędy przejeżdżał w godzinie duchów, a koń mój niespokojnie począł rwać kopytami ziemię pod sobą, i ja obejrzawszy się zobaczyłem białą wiotką postać zbliżającą się i wyraźnym giestem przywołującą mnie ku sobie, struchlałem, a gdy koń skoczył jeszcze, szarpnął się i spiął dęba, to mnie włosy na głowie tak się podniosły, że aż kapelusz spadł na ziemię; jak też pocisnąłem konia, to sam nie wiedziałem kiedy znalazłem się w dziedzińcu przed domem w Palejowie.

Wesoły śmiech powstał w całem towarzystwie, gdyż opowiadający znany był z odwagi i męztwa, a zarazem ze swobodnego i wesołego zawsze humoru, jak i z rozmaitych opowiadań, w których kazał sobie lub osobom najmniej do tego podobnym grać śmieszną rolę.

— Wuju, jak to było? jak ten duch wyglądał? jaka szkoda, że wuj nie poszedł po skarby ukryte! — posypały się zapytania i wykrzykniki.

— Spróbój jak to było, i pójdź o północy do głębokiego jaru — zupełnie serjo zwrócił się do najnatarczywszej i najciekawszej z pytających.

Dziewczynka ze strachem nietajonym obejrzała się, jakby tuż za sobą obawiała się ujrzeć widmo pokutnicy.

— A! za żadne skarby świata nie poszłabym — zawołała z przerażeniem.

— A no, a chcesz abym ja za skarby Paleja poszedł, z udanem oburzeniem — odpowiedział.

— A czy nie mógłbyś nam opowiedzieć o przyczynie pokuty Palejowej córki? — zapytałam.

—O i owszem, słyszałem w dzieciństwie wiele razy opowiadane to zdarzenie przez moją piastunkę, w której duszy tkwiła widocznie iskra poezji, gdyż wszystkie jej bajki i opowiadania nastrojone były na poematyczny patos, więc jeżeli nie lękacie się, aby zbudzony i oburzony duch roztrząsaniem winy swojej, pojawił się pośród nas — no — to wam opowiem wiernie — jak wiernie mam w pamięci zachowaną opowieść piastunki mojej.

Ozwało się naraz kilkanaście głosów, jedni wołali: prosimy, prosimy o opowiadanie, trwożliwi protestowali wnosząc, że przyjemniej będzie posłuchać w domu po smacznej wieczerzy i herbacie, obsiadłszy do koła długi stół w jadalnym pokoju, niż tu na stepie — wśród nocy...

Tymczasem zbliżaliśmy się już ku domowi — po prawej stronie pokazał się nam liman Hadżubejski*), rozlany szeroko i gładki jak szyba zwierciadlana, po lewej w zagłębieniu stepowem czyli w bałce, mieścina Hnilakowa, nad której nizkiemi białemi domkami, podnosiła się cerkiew, górując zieloną blachą pobitemi, baniastemi kapułami. Przed nami widniał już także we wieńcu drzew rozległego ogrodu, wśród rozlicznych zabudowań gospodarskich, gościnny dom brata mego.

Przeważna liczba głosów pragnąca usłyszeć natychmiast podanie o Palejowej córce przemogła, otoczyliśmy ciaśniejszem kółkiem opowiadającego i to cośmy usłyszeli, podaję najwierniej.

Palące słońce południa przebiegło nieprzemierzony obszar niebios, i silniej zarumienione zmęczeniem dziennej podróży, nikło

*) W okolicach Odessy są nad brzegami morza czarnego trzy większe limany — Alexandryjski, Suchy i Hadżubejski. Ten ostatni największy, bierze swój początek pod samą Odessą; od morza oddziclony peresypem, to jest ławą piaszczystego namułu, i obecnie — dla oka przynajmniej, nie ma żadnej styczności z morzem. Długości ma około 40 kilometrów, szerokości w niektórych miejscach więcej niż 2 kilometry. Pod Odessą jest w niektórych miejscach głęboki na parę sążni, dalej staje się płytszym, a kończy się moczarami. Są lata w których zmniejsza się jakby wysychał, w innych bez widocznej przyczyny przybiera na szerokości i głębokości. Woda Hadżubejskiego limanu jest mocno gorzko-słona, gdyż zawiera w sobie najwięcej soli glauberskiej i kuchennej, jako też wiele części żelaza, jodu, bromu i siarki. Woda morska w porównaniu z limańską jest prawie słodka.

zwolna za dalekim horyzontem. Już się skryło na wypoczynek nocny, już utonęło w nieznane światy, ale jakby zatęsknione za stepem, za kwiatami, za ich barwą i wonią zastawiło jeszcze na nieboskłonie jasne promienie swoje, chwilę jeszcze oświecało niemi niezmierzony okiem obszar — wszystkie kiście traw bujnych, wszystkie główki kwiatów barwnych kołysanych już do snu lekkim wietrzykiem wieczornym. A może jasny promień słońca czekał na najpiękniejszy kwiat stepowy — na Palejową córkę — może ją pożegnać chciał — do jutra — może zapragnął jeszcze spojrzeć w głęboką toń jej oczu, musnąć po białem czole, pogładzić bujne warkocze. Wszak to jego ukochana pod ciepłem jego wyrosła na ten cudny kwiat stepowy. On to rzucił w jej oczy te palące blaski — on pozłocił jej warkocze, nim więc odejdzie na całą noc długą pragnie pożegnać. Drży i blednie czy mu się pokaże dziś jeszcze — dziś — bo jutro? — Któż wie czyje jutro?! I Palejowa córka, pociągniona gorącem pragnieniem rozmiłowanego w niej promienia słonecznego — wyszła... Na zachodnim stoku bałki Palejowej, widny był duży kamień, mchem pokryty i zda się wrosły w boku góry, ten się to głaz poruszył i z łona góry wyszła ukochana promienia słonecznego — wyszła — stanęła na progu chaty ojcowskiej wyciągnęła ręce przed siebie, a potem dłoniami przycisnęła blade czoło. Tak blade miała czoło, i korale ust jej zbielały, a w oczach blaski słonecznego promienia we łzie się złamały — we łzie żalu i grozy! O zrozumiał kochanek niebieski, że łza ta nie za nim płynie — że płynie za kochankiem ziemskim, złamany w niej pobladł, zadrżał i zniknął zapadając w ciemne otchłanie nocy!!... I cienie też nocy otulały coraz mroczniej — stojącą na progu ojcowskiej chaty z załamanemi rękami, i cudny ten świat stepu, żalem i przerażeniem przemienił się jakby w posąg wkuty w skalisty stok bałki. W końcu oniemiająca groza stopiła się we łzie, która spłynęła po ślicznem licu, a stoczywszy się po perłach, bursztynach i koralach ceny nie mających, utonęła w fałdach złotem szytej koszuli. Łza ta przyniosła ulgę ściśnionemu sercu, i razem z nią wybiegły z ust Palejowej córki rzucone w ciszę nocną słowa strasznej skargi i groźby razem!...

— On — on — mój ojciec chce go zamordować, dysze pragnieniem krwi jego — dysze straszliwą zemstą?!! za co? że córka jedyne dziecie zbója Paleja, pokochała pięknego i odważnego młodzieńca, który aby otoczyć ją niebem miłości swojej, ażeby dać jej rozkosz swoich uścisków — waży swe życie i zbliża się do zbójeckiej bałki Palejowej? Obawia się zdrady, a za dłoń pomocną w zamordowaniu mego pięknego, czystego, niepokalanego krwią ludzką Ostafiego, rzuci mnie w objęcia wstrętnego i nienawistnego mi Tarasa Hnilaka! O tak ojcze! lękaj się zdrady, ale zdrady córki twej własnej, córki twej jedynej!...

Umilkła, wsłuchała się w ciszę nocną i stała tak chwilę, siliła się kłam zadać myślom własnym, i własnym słowem.

— Może to sen — o gdyby się zbudzić!!!...

Wstrząsła się, zadrżała strasznym dreszczem przerażenia.

— Ach nie, nie sen to! Wszakże słyszałam, słyszałam brzęk ostrzonego brzeszczotu, słyszałam straszne słowa wychodzące z ust mego ojca, ojca mego rodzonego: „Jutrzejszej nocy żelazo to utopię w sercu jego, bo zdrajcą jest! uspił nas słodkiemi słowy miłości dla Oksany jak kwieciem makowem, a w sercu ma zdradę, bo nie jest on z naszych za jakiego się przedaje, ale kniaź bogaty. Gdy się przesyci słodyczami miłości zbójeckiej córki, to ojca wyda na ścięcie! O nie lękam się ja Ciebie, Kniaziu ze złoconych komnat, jutro, jutro mój kindżał napije się krwi twojej"!

— O nie ojcze, kindżał twój nim będzie pił krew jego, musi się pierw mojej napić! Mordercze twoje żelazo musi przejść moje serce nim w jego uderzy! O, to mój Ostafi, droższy mi nad kwietny step rodzinny, nad jasny promień gorącego słońca, nad mogiłę matki, nad ciebie siwo-brody ojcze!!... Żyć dla niego, dla niego umrzeć!... Echo odbite po bałkach i jarach powtórzyło... umrzeć..

Oksana obróciła się ku wschodowi, ciemny szafir na samym skraju nieba począł przybierać srebrzystą jasność, wschodnie gwiazdki pobladły, zapowiadając ukazanie się księżyca. Zbudziła się ze strasznych myśli, klasnęła w drobne rączki:

— Ach on mnie już czeka! — zawołała i lekko jak obłok gnany wiatrem wybiegła na step, a biegła tak lekko, że zaledwie zostawiła ślad bosych nóżek na trawach i kwiatach strąceniem perlistej rosy. Złociste kosy i białe szerokie rękawy koszuli jak skrzydła unosiły się za nią, i zdawało się przyczyniały lekkości i szybkości jej biegowi. A powtarzając: Ach może już czeka, biegła tak aż do miejsca gdzie jar głęboki rozdarł step na dwoje.

Tymczasem księżyc wszedł na niebiosa, srebrem swojem rzucił na Hadżubejski liman, rozświecił go i wygładził ze zmarszczek fali, aby płynąc coraz wyżej po niebie, mógł się w nim przeglądać. Rozświecił step przed chwilą ciemny, i zajrzał ciekawie w głęboki jar. Obrywy, głazy uczepione do ścian jaru, krzaki jałowcu i berberysu zdawały się kryć sobą jakieś dziwy i tajemnice, takie rzucały przed siebie cienie, to też rozciekawiony nocny stróż ziemi począł uparcie zaglądać po za każdy krzaczek, załom każdy i głaz obwisły. Aż zatrzymał się nad dwojgiem przytulonych do siebie w miłosnym zachwycie, i tak się wsłuchał w gorące słowa płynące wezbranym potokiem uczucia z serca do serca, że aż zadrżał wzruszeniem i zdało się stanął w biegu swoim. Piękny młodzieniec przyciskał do serca córkę zbójecką, gładził miłośnie a lekko złote jej kosy i uspokajał w trwodze.

— Nie lękaj się o mnie, gołąbko ty moja, tak jest jak ojciec twój rzekł, jam nie prosty zbój, jam kniaź Ostafi. A na kniazia Ostafiego mało jest jednego Paleja, a nawet sojusznika jego Hnilaka aby mnie zmógł. Niech ostrzy swój kindżał, niech cieszy się przedsmakiem krwi mojej, ja jutro w sto koni z drużyną książęcą przyniosę mu w dani złociste kajdany! Uspokój się w trwodze stepowy kwiecie ty mój, przygarnij się do mnie, zarzuć mi ręce na szyję, bo ja cię uwiozę na dwór mój książęcy i będziesz kniehinią dopóki dni twoich!

I córka Paleja tuliła się do piersi kochanka i kładła gorące pocałunki na usta które przed chwilą głosiły niewolę i śmierć jej ojcu, ojcu jej rodzonemu!!...

A blady księżyc na krwawy ten zgrzyt w pieśni miłośnej pokrył się czarną chmurą i smutny poszedł w dalszą drogę po niebie, wody Hadżubejskiego limanu pociemniały i zburzyły się czarną falą, i wiatr świsnął w stepie. Czy wiatr to? czy śmiech radośny siły nieczystej? Czy i krzak róży dzikiej, pod którym stali spleceni w uścisku miłości poruszył się tak silnie niecnym czynem wyrodnej córki, że aż zachwiał się cały? Czy wstrząsła nim podnosząca się olbrzymia postać człowieka? Jednocześnie w mroku nocy nad głowami pochylonemi ku sobie błysło ostrze żelaza.

— Ha! giń wyrodna córko! zdrady zapłata — śmierć!... Woli twej czynię zadość i w twojej krwi zbroczony kindżał topię i w jego sercu!

I runęły na ziemię dwa ciała splecione w jednym uścisku, już wiecznym.

I stał teraz siwobrody, olbrzymiego wzrostu Palej, nad ciałem zamordowanej córki, i połą świty wycierał ze krwi dziecka swego stal połyskliwą. Wiatr stepowy, towarzysz długich lat jego i świadek popełnionych mordów i okrucieństw, przybiegł doń chłodząc mu pałające jeszcze zemstą czoło, i rozwiał siwy włos na ramiona, bose, włosem obrosłe nogi grzęzły w zimnych trawach oblanych wilgotną rosą nocną. Krwawa zasłona, która w chwili mordu dziecka przykryła mu była świat cały, usuwała się teraz powoli z oczu starca i wracała pamięć przeszłości. I ujrzał Oksanę swoją dzieciątkiem malutkiem przy piersi przed laty ukochanej kobiety, i później dzieweczką niewinną a śliczną, przy której szczebiotaniu i pieszczotach, zapominał na chwilę o krwawych mordach wypełniających życie jego, i widział ją gospodarzącą po swojej chacie, warzącą mu jadło, podającą napój i widział jak blaskiem piękności swojej rozświecała wiecznie ciemne podziemie, wspólne ich mieszkanie. I uczuł się nagle pozbawiony, osierocony z całego szczęścia ziemskiego, z całego dobra, jakie mu Bóg dał w nieograniczonej dobroci swojej! I teraz dopiero poczuł się strasznym mordercą, strasznym grzesznikiem niegodnym oglądania już nawet jasności słonecznej.... i wszystkie grzechy strasznego żywota jego wszystkie mordy i zabójstwa zwaliły się na sumienie zatwardziałego zbója, ugięły go i padł na kolana przy trupie córki wołając ze wzniesionemi rękami w niebiosa:

— Och! co za straszna kara za zbrodnicze życie moje!...

Księżyc wyłonił się z za chmury i jasnem światłem oświecił piękną jakby uśpioną dziewicę. Usteczek na wpół otwartych mających niby wyszeptać słowo miłości ukochanemu, nie wykrzywił wyraz bólu, twarzy pięknej nie oszpecił przestrach. Ach, tak dobrze umierała, tak umierała szczęśliwie, w uścisku kochanka, przy jego sercu!

Perły i korale nienaruszone, nie tknął je kindżał ojcowski, a przydał jeszcze jedną ozdobę, by się podobała kniaziowi. przydał

*

czerwoną strugę krwi serdecznej... I ujrzał starzec tę krew płynącą z piersi dziecka swego, i poczuł ją gorącą na bosych nogach swoich, przypadł ciałem do ciała córki, i łzy zakamieniałe od pół wieku w piersiach zbójcy stopniały od czasu pod żalem ojca i zmięszały się z krwią płynącą z łona uśpionej snem wiecznym.

I nazajutrz gdy słońce wybiegło na niebo, a promień słoneczny szukał swego kochania na ziemi, ujrzał trzy trupy blade i sztywne leżące pod krzakiem dzikiej róży, a struga łez i krwi spływała głębokim jarem, aż w wody Hadżubejskiego limanu. Słońce rozżalone zasłoniło się szaremi mgłami i dzień cały spojrzeć nie chciało na ziemię, wilcy pożarły ciała, a wiatr stepowy wyblichował kości.

Wiele już wiele od tego strasznego mordu lat minęło, wiele wiatrów przeszumiało nad stepem, wiele kwiatów przekwitło, a pamięć zdarzenia tego przeminąć nie może, bo duch wyrodnej córki błąka się na miejscu popełnionej niegdyś zbrodni, a ziemia przesiąkła przelaną krwią pomordowanych i łzami ojca, wydaje od tego czasu na brzegach Hadżubejskiego limanu krwawą roślinę* napełnioną słonemi łzami skruszonego zbójcy. Duch potępionej błąkać się musi, dopóki nie znajdzie się śmiały człowiek żyjący, którýby na wezwanie pokutującej poszedł za nią, sam, wśród nocy miesięcznej, na miejsce zbrodni i tam najlichszy, choćby z dwóch suchych badyli, krzyżyk postawił.

Lecz daremne prośby, każdy przejeżdżający głęboki jar o północnej dobie, przyspiesza kroku swemu koniowi aby nawet nie słyszeć skargi i prośby potępionej.

Duch więc biednej Oksany błąka się dotąd po głębokim jarze wypatrując śmiałka którýby ją wybawił i połączył z duchem ukochanego Ostafiego.

POGADANKI.

O różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

3. Jakie ma dla nas znaczenie pozytywizm?

W poprzedzającej pogadance starałem się przekonać cię, Szanowny czytelniku, że ani pozytywizm, ani Darwinizm nie mają w sobie nic strasznego i niebezpiecznego dla społeczeństwa; że ani narodowość, ani moralność, ani nawet poezja nic na tem nie tracą, że umysł ludzki, zamiast uganiać po powietrzu za nieuchwytnym absolutem, zajmie się poznaniem tego, co stanowi wątek rzeczywistości, treść codziennego życia; zamiast wysnuwać z siebie pajęczą tkankę oderwanego myślenia i układać z niej misterne, ale czcze i martwe systematy, zabierze się do pilnej obserwacji i cierpliwych doświadczeń, które wprawdzie nie zostawiają zbyt obszernego pola do popisu wybujałej fantazji, ale które za to choć w części uchylają tajemniczej zasłony prawdy. Czy usiłowania moje osiągnęły pożądany skutek? Sąd o tem nie do mnie należy. W każdym razie, przypuszczając nawet, że potrafiłem rozproszyć w twym umyśle wszelkie uprzedzenia i obawy, jakie dotąd żywiłeś względem pozytywizmu i Darwinizmu, to przecież nie mogę jeszcze uważać swego zadania za ukończone, nie mogę mieć pewności, azalim zdołał cię już pozyskać dla nowego kierunku myślenia tak dalece, byś miał go witać jako zwrot zbawienny, po którym można spodziewać się wielu korzyści. Po tem wszystkiem, com powiedział na obronę pozytywizmu i Darwinizmu, możesz mi zrobić bardzo słuszną uwagę, że pozytywny kierunek myślenia jest dobrym i pożytecznym dla społeczeństwa, zostającego w normalnych warunkach bytu; lecz czy nie okaże się on innym dla społeczeństwa, które, jak nasze, znajduje się w wyjątkowem położeniu? Czy w naszem społeczeństwie, wyrzuconem z właściwej kolei dziejowego życia, wprzągniętem do pługa obcych mu zadań i trudów, w społeczeństwie, które żyjąc pod warunkami przeciwnemi jego przeszłości, niezgodnemi z jego dążeniami, zmuszonem jest ciągle walczyć z czynnikami nastawającemi na jego byt, na jego narodową samoistność — czy w społeczeństwie takiem nie okaże się pozytywizm rozkładowym pierwiastkiem, osłabiającym siłę odporu, ochwiewającym podstawy narodowego bytu? Czy pozytywny kierunek myślenia, polegający przedewszystkiem na zimnej rozwadze, która wierzy tylko w fakta, jakie ma przed sobą i jakie dają się podciągać pod rachunek — nie pozbawi nas wszystkich tych zbawiennych złudzeń, które opromieniają urokiem poezji naszą przeszłość i każą nam wierzyć wiarą dziecka w przyszłość? Słowem, czy swem anatomizującem usposobieniem niewywoła w nas wzgardy dla przeszłości i wyparcia się wszelkich marzeń na przyszłość, czy nie przerobi nas na pasożytów ludzkości, dobrowolnie zrzekających się samoistnego bytu i przyjmujących ze spokojną rezygnacją los owadów, w obcym żyjących organizmie?

Uwagi te i obawy są bardzo słuszne, tem słuszniejsze, że nie brak nam pewnych objawów, które każdego dbającego o narodowy byt Polaka muszą trwożyć i zastanawiać. Mówię tu o objawach owego kierunku w nowszem społeczeństwie, który możnaby nazwać kierunkiem rozpaczy, a który, oceniając przeszłość ze stanowiska obecnych bied i niepowodzeń — potępia ją, jako źródło naszych nieszczęść; który pesymistycznie zapatrując się na przyszłość, nie mającą dla niego żadnej nadziei, każe nam wszystkie nasze usiłowania łożyć w to główne, ażeby złagodzić ucisk jarzma gniotącego nasze karki, jeżeli nie przez wywatowanie samego jarzma, to przynajmniej przez sztuczne, za pomocą jakichś kordjałów zaprawienie karku do jego znoszenia. Niepokój twój tem bardziej daje się usprawiedliwić, że apostołowie owego kierunku zwykle posługują się językiem, który stanowi właściwość pozytywizmu, że walczą rozumowaniami, które mają pozór ścisłości, dalekiej od wszelkich złudzeń. Otóż na pierwsze twe uspokojenie mogę cię upewnić, że pozytywizm nie ma nic wspólnego z owym kierunkiem rozpaczy, który tak samo opiera się na złudzeniach, jak i przeciwny mu kierunek optymistyczny. Poddawanie się rozpaczy i zakładanie rąk na piersi, jest dowodem upadku energji pod wpływem wygórowanego uczucia smutku i boleści, jest objawem chorobliwego stanu duszy tak samo, jak uleganie złudnym nadziejom i nierozmyślne rzucanie się w wir wydarzeń bez uprzedniego obrachowania się z siłami, bez rozpoznania kierunku i natury owych wydarzeń. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku czynnym pierwiastkiem jest uczucie, fantastyczne przedstawianie rzeczywistości, ale nie rozwaga, ale nie postanowienie, działające z całą świadomością swych powinności. W obu tych wypadkach pozytywizm nie ma żadnego udziału, bo on właśnie na tem polega, że przyznając uczuciu wielką rolę w życiu tak jednostki, jak i narodu, odmawia mu przecież prawa wtrącania się do rzeczy, które należą wyłącznie do rozumu. Zadaniem uczucia wiązać nas z ustalonemi formami bytu, pobudzać nas do działania w kierunku, uznanym za dobry, wzmacniać nareszcie nasze przekonania, nadając im hart postanowień; ale tam, gdzie idzie o rozstrzyganie kwestji, dotyczących nowego porządku rzeczy, o ocenienie faktów, o poznanie warunków życia; gdzie należy odgadywać nowe potrzeby i obmyślać środki do ich zaspokojenia, tam tylko jeden rozum, oparty na doświadczeniu, może stanowić. Takie jest stanowisko pozytywizmu w obec wydarzeń życia tak prywatnego, jak i publicznego. Wychodząc z tego stanowiska, powiada on wręcz i otwarcie, że nie wiele warta jest żywotność narodu, która szuka dla siebie punktu oparcia w złudzeniach; że na niewiele się przyda podtrzymywać fałszami cześć dla przeszłości, zarówno jak i wiarę w przyszłość podtrzymywać iluzorycznemi nadziejami; że gdybyśmy nie mieli innych podstaw do oparcia na nich swych dążności i usiłowań; że gdyby przywiązanie nasze do przeszłości było tylko dziełem próżności, a nasze nadzieje idjotycznem marzeniem człowieka, zamykającego oczy na rzeczywistość,—to zaiste nie pozostawałoby nam nic innego, jak udać się drogą, jaką nam wskazuje polityka rozpaczy. Pozytywizm atoli trzeźwo zapatrujący się na rzeczy, poddający ścisłemu rozbiorowi wszystkie czynniki narodowego życia, przekonanym jest, że narodowa nasza żywotność nie potrzebuje opierać się na złudzeniach, czyto mimowolnych, czy umyślnych; że jakkolwiek nasza przeszłość wiele w sobie zawiera rzeczy, któremi ani się chlubić, ani bez upokorzenia mówić o nich nie można, z tem wszystkiem wzięta w swej całości nietylko nie jest gorszą od dziejów innych europejskich narodów, ale pod wielu względami nawet o wiele lepszą, więcej szlachetności, więcej godności ludzkiej w sobie mającą; że jakkolwiek położenie nasze obecne jest bardzo trudne i niebezpieczne, w każdym przecież razie rozpaczliwem nie jest, potąd przynajmniej, póki rozerwane części naszego narodu nie zatracą w sobie poczucia swej narodowej jedności, pokąd nie wygaśnie w naszych sercach narodowa ofiarność i miłość publicznego dobra, pokąd nie zaprzestaniemy swych usiłowań w szerzeniu oświaty i podnoszeniu ludu do stanowiska obywateli kraju, świadomych swych powinności. Chociaż więc pozytywizm rozprasza złudzenia, starając się postawić przed oczyma narodu nagą rzeczywistość, w swej nagości niczem nie osłoniętą, świecącą ułomnościami swych kształtów, które nie jednego ciężkim przejmują smutkiem; wyszukuje on przecież jednocześnie w samejże rzeczywistości pewne czynniki, pewne jej strony, które świadcząc o jej żywotności, dają silniejszą podstawę naszym usiłowaniom, niż

---

*) na brzegach limanu Hadżubejskiego rośnie roślina zwana od miejscowych mieszkańców „sołoniec“, która jest koloru krwawego, do słońca jest aż przeźroczysta, rośnie krzaczysto, łodyżki są walcowate w przegubach, wygląda jak krzaczki koralowe, rozłamana wydaje ciecz słoną.

wszelkie złudzenia, zdolne wprawdzie rozentuzjazmować chwilowy zapał, ale nie podtrzymać postanowienie w ciągłej wytrwałości.

Po tem ogólnem zapewnieniu uspokajającem cię w twych obawach i wątpliwościach —możemy przystąpić do rozpatrzenia się w następujących pytaniach, z powyższemi, które sam postawiłeś, zostających w bezpośrednim stosunku, a mianowicie: czy właściwy pozytywizmowi kierunek myślenia zgadza się z narodowem usposobieniem? Czy nie utrudnia on pod jakimkolwiekbądź względem narodową naszą pracę, jeżeli nie wprost, przez złe jej wyrozumienie i nieodpowiednie skierowanie naszych usiłowań, to przynajmniej ubocznie, przez zużywanie sił na rzeczy, które zgoła są nam nie potrzebne, a przynajmniej bez których moglibyśmy się obejść?

Co się tyczy pierwszego pytania, to wyznać potrzeba, że rozstrzygnięcie jego w ten lub inny sposób stanowi do pewnego stopnia i o pytaniu drugiem, o tyle przynajmniej, że w razie odpowiedzi przeczącej usuwa je najzupełniej, czyni zbytecznem wszelkie nad niem zastanawianie się. W razie bowiem, gdyby pozytywizm przeciwnym był nastrojowi naszego umysłu, narodowemu usposobieniu — żadne usiłowania nie zdołają go zaszczepić na naszym gruncie; zginie on, jak obca roślina, nie znajdująca pod naszem niebem odpowiednich swemu rozrostowi warunków. Najlepszy tego dowód dostarczają nam dzieje niemieckiej spekulacji, w prowadzonej do nas usilowaniami Trentowskich, Libeltów i Cieszkowskich. Ani głęboka wiedza i oryginalne rozwijanie szczegółów, ani świetność formy czyniącej przystępnemi pojęcia najbardzij oderwane, nie mogły uratować obcy naszemu usposobieniu kierunek myślenia od upadku. Wprawdzie taki sam koniec spotkał go i gdzieindziej, ale spotkał go wtedy dopiero, gdy wzrost nauk przyrodniczych wykazał podstawową jego nicość. U nas przeciwnie, upadł on wcześniej, dzięki temu jednemu tylko, że naród nie mógł się oswoić z nim, nie mógł nałamać swej myśli do jego djalektycznych subtelności, że czuł wstręt do niego, jako do kuglarstwa rozpróżniaczonej myśli, szukającej roztargnienia w łamigłówkach, upajających umysł i odwracających go od kwestji życia praktycznego.

Nie łatwo odpowiedzieć wprost na pytanie, czy i o ile pozytywizm zgadza się z narodowem usposobieniem. Musimy bowiem wprzód dowiedzieć się, jaka jest natura naszego usposobienia, co stanowi właściwość naszej myśli, jaki jest jej nastrój, zasadnicze jej nakierowanie. Otóż wyjaśnienie sobie tych przedwstępnych kwestji jest nader utrudnionem przez to, że nie wiadomo, w czem szukać mamy wyrazu naszej narodowej myśli, jaką fazę dziejowego naszego rozwoju powinniśmy uważać za wierny objaw narodowego ducha. Wyznać bowiem prtrzeba, że pod względem cywilizacyjnym przeszłość nasza przedstawia się w różnych momentach swego rozwoju z różnem obliczem, a przynajmniej z odmiennym wyrazem na obliczu. Któryż z nich mamy wziąć za naturalny, a który za sztucznie przybrany, albo też spowodowany niezwykłemi przygodami? Czy wzoru przedstawiającego normalny kierunek narodowego usposobienia mamy szukać w epoce Zygmuntów, kiedy Polska zajmowała pierwszorzędne stanowisko w kole ucywilizowanych narodów, czy w epoce Wazów i Sasów, kiedy stała się igraszką wewnętrznej swawoli i przedmiotem wzgardy dla obcych? Czy mamy go upatrywać w usiłowaniach Stanisławowskiego okresu, w którym duch narodu przecknąwsry się z upojenia szału, zabrał się do naprawy tego, co zepsuło niedbalstwo i ciemnota? czy może w porozbiorowej pracy narodu, pełnej nadludzkich wysileń? Każda z tych epok ma właściwy sobie charakter, nierzadko tak różny, że na pierwszy rzut oka dla celu naszych poszukiwań, zdawałoby się najwłaściwiej zaniechać jednęz nich, a wziąć pod rozwagę te tylko, które jak najmniej mają w sobie obcego pierwiastku. Jakoż znane są przekonania wielu, którzy uważają epokę Stanisławowską za najmniej narodową, ale którzy jednocześnie typy z epoki Sasów podnoszą do wysokości narodowego ideału. Zapominają oni, że jeżeli za Poniatowskiego wzorem dla naszej myśli był Wolterowski dowcip i smak francuskiego konwenansu, naginający umysł polski do dresury, przeciwnej jego naturze —to w okresie Sasów nie mniej obcym, daleko szkodliwszym dla nas, duchem panującym był jezuicki fanatyzm, który pozbawiwszy naród rozumu, żywą jego wiarę zastąpiwszy praktyką bigoterji, stłumił w nim uczucie własnej godności, zobojętnił go na sprawy publiczne i doprowadził go do takiego stanu, że korząc się myślą przed religijnemi ćwiczeniami, z czystem sumieniem zdradzał kraj, mordował ludzi i szukał zaszczytu w ilości spożytych pokarmów i wypitych kielichów. Podawanie narodowi za wzór do naśladowania takiego stanu rzeczy — nie świadczy zaszczytnie ani o umyśle pisarzy, ani o ich moralnem stanowisku! W każdym razie, chociaż zdaje się, że możnaby obie te epoki, nacechowane nie swojskiem usposobieniem, nastrojem umysłu przybranym, zupełnie pominąć i zająć się rozważaniem czasów Zygmuntowskich, uświetnionych imionami tylu bohaterów, tylu mężów wielkich czynów i tylu pisarzy, których dzieła pozostaną na zawsze chlubą wieku, a oraz czasów porozbiorowych, kiedy duch narodu, spotężniały cierpieniem, odzyskał dawną dzielność i złożył świadectwo niezłomnej żywotności hartem w znoszeniu cierpień i genialnością w poezji i malarstwie—bliższe przecież rozpatrzenie się w rzeczy nakazuje nam powstrzymać się od takiego ryczałtowego potępiania całych okresów dziejowego życia. I w nich bowiem nie trudno pod przybraną maską odgadnąć główne kontury oblicza, w zeszpeconej zwierzęcemi namiętnościami i ogłupieniem twarzy, wypatrzeć charaktyrystyczne rysy, dające poznać naturę myśli i uczucia. Zresztą i dwie inne wymienione epoki naszych dziejów nie przedstawiają w niepokalanej czystości narodowego ducha, nie dają go nam poznać takim, jakimby się okazał, gdyby się objawiłbył w dziełach samodzielnie wykonanych, w usiłowaniach przedsiewziętych w normalnych warunkach życia, w samorzutnym rozwoju myśli. Za Zygmuntów oświata narodowa rozwijała się pod wpływem odrodzenia nauk, na wzorach Greków i Rymian—w czasach porozbiorowych, pomijając chwilowe panowanie romantyczności – duch narodu uległ strasznym cierpieniom, które wycisnęły na umyśle jego niezatarte piętno, nadając mu kierunek mistyczny, tak samo obcy mu i niewłaściwy, jak i ten, jaki uprzednio rozwinął się pod wpływem literatury francuskiej. Żadnej więc z epok narodowych dziejów, chociażby najbardziej nacechowanych obcością, chociażby przedstawiających największe zboczenie od normalnego rozwoju, wykluczać nam nie wolno, nie wolno pomijać w swych badaniach; w nich bowiem wszystkich czynnym jest ten sam duch narodowy, ktory daje o sobie świadectwo nie samemi tylko cnotami i zaletami, ale nawet wadami i występkami. Tak w tych, jak i w tamtych odbija się wyraźnie charakterystyczna cecha jego usposobienia, przewaga nad innemi jednego z pierwiastkowych czynników jego umysłu.

Przeszłość nasza, badana tak w swej całości, jak i w pojedynczych szczegółach pod względem psychicznym wskazuje nam dość wyraźnie, że źródłem wszystkich naszych cnót i błędów zarówno prywatnych, jak i publicznych, jest nastrój naszego umysłu, który tak silnie sprzągł się z życiem rzeczywistem, tak mocno zjednoczył się wszystkiemi swemi fibrami z czynnikami tego życia, że jest on silnym, zdolnym do najszczytniejszych polotów, gotów łamać wszystko, czego rozum nie złamie, wtedy tylko, gdy działa na gruncie rzeczywistości, w warunkach praktycznego życia. Zaabsorbowany przez życie jak najzupełniej, w sferach abstrakcyjnego myślenia czuje się on obcym i niezdolnym, zarówno, jak i na polu twórczej fantazji, gdzie traci całą polotność i werwę. To też o ile dzieje naszego życia politycznego i prywatnego przepełnione są wydarzeniami, które swą nadzwyczajnością zdolne są zachwycić najwybredniejszą w swych gustach fantazją, rozbudzić w najobojętniejszem sercu uczucie podziwu i uwielbienia, o tyle znowu literatura nasza, z wyjątkiem Mickiewiczowskiego okresu, odznacza się takim spokojem myśli, taką praktycznością poglądów, takiem miarkowaniem uczucia i skromnością fantazji, nie pozwalającej sobie na żadne swobodniejsze wybryki, że można bez przesady powiedzieć, że naród nasz całą poetyczność swego ducha wkładał w życie, w literaturze zaś był niczem więcej, jak rozsądnym prozaikiem, posługującym się fantazją, li w celu retorycznych efektów. Tak się działo i takim był nasz naród, pokąd był samoistnym czynnikiem w dziejach ludzkości; lecz od chwili, gdy utracił byt polityczny, gdy przeszedł na parobka do obcego gospodarstwa, cała żywotność jego ducha, zaabsorbowana dotąd przez życie, gdy to życie było samoistnym jego utworem, przyjęła inny kierunek, zwróciła się ku sferom, w których swobodnego jej polotu żadne więzy nie krępują, żadne ukazy nie powstrzymują, gdzie wolna, jak wolną była kiedyś w życiu, może z całą swobodą dziecka, przebywającego myślą w świecie baśni, stwarzać dla siebie nowy świat, o tyle wyższy od rzeczywistego, że w nim największe bole i cierpienia pozbywają się cechy samolubnego zasklepienia się w sobie, że sama rozpacz bez granic ma jeszcze w sobie coś, co zjednywa dla niej nie prostą litość, ale współczucie połączone z uwielbieniem. Jestto świat piękna, świat poezji i sztuki, w którym cała żywotność naszego narodu skupiła się od chwili, kiedy skrępowana obcemi sobie warunkami życia, nie mogła w niem rozwinąć swej dzialalności. Jestto doba naszych dziejów, w których bohaterami są nie Chodkiewicze i Żółkiewscy, nie Puławscy i Kościuszki, ale Mickiewicze, Słowaccy, Matejki, Siemiradzcy i Grotgierowie. Doba ta tak różna od poprzednich, tak niepodobna do całej przeszłości narodowej, że można by ją raczej uważać za gorączkowy sen człowieka, który usnął po ciężkich katuszach i w śnie swoim widzi tę samą rzeczywistość smutków i boleści, ale uszlachetnionych wiarą w ideały życia, złagodzonych nadzieją lepszej przyszłości, nie różni się przecież od nich pod względem istotnego swego charakteru, jak nie różni się charakter człowieka, któ-

ry osadzony w więzieniu za swe patrjotyczne czyny, żyje myślą, wspomnieniami i nadziejami, zamiast jak dotąd żył poświęcaniem się dla sprawy narodu. Wszak największy bohater konspiracyjnego życia naszego, Konarski, człowiek niezłomnej energji, dla celów praktycznego życia poświęcający wszystkie swe siły moralne i umysłowe, stał się dopiero w więzieniu poetą, nie przestając być tym samym człowiekiem, nie odstępując w swym przedśmiertnym utworze od przewodniej myśli swego życia. A jak Konarski szukał ukojenia swych cierpień nie w bezcelowem fantazjowaniu, niemającem żadnego związku z rzeczywistością, lecz w szczytnej skardze na krzywdy narodu, w zatopieniu swych bolów w toniach boleści narodowej, tak i naród nasz w swej poezji i sztuce nie przestał być narodem, który całą siłę swą czerpie w rzeczywistości, dla którego jedynem natchnieniem jest życie narodu, jedynym przedmiotem jego uczuć i myśli, jedynym celem jego dążności jest przyszłość narodowa. Praktyczny nastrój ducha widnym jest we wszystkich utworach naszej poezji i malarstwa; nie osłabiły go w niczem ani wprowadzona do nas niemiecka spekulacja, która przeciwnie sama uległa wpływowi narodowego usposobienia i przybrała na się formy, bardziej dostępne ludzkiemu pojęciu i łatwiej dające się zastosować do potrzeb rzeczywistego życia, ani też chorobliwy mistycyzm, który również zamiast jak gdzieindziej unieść myśl narodową na pole nieokreślonych, pozbawionych narodowego, a więc rzeczywistego charakteru dążeń, przybrał na się postać narodowych pragnień, stał się wyrazem walk o praktyczne cele jego usiłowań, zwiazanych ściśle z zadaniami rzeczywistego życia.

Otóż praktyczny ten nastrój ducha, to skierowanie umysłu ku zadaniom życia, ten wstręt do wszelkich zaciekań się, tracących z oczu dotykalną rzeczywistość, jakie dostrzegamy we wszystkich dobach narodowego rozwoju, we wszystkich objawach naszego dziejowego życia, nie jest czem innem, jak właściwem, przyrodzonem naszemu umysłowi stanowiskiem, które pod względem logicznym sprowadza się do formuły, stanowiącej istotę pozytywnej metody. Zasadą bowiem pozytywizmu nie jest nic innego, jak skierowanie umysłu ku rzeczywistości, łączenie się uczuciem z istotnemi warunkami życia, z jego potrzebami i dążnościami, opieranie badawczej myśli na danych, jakich dostarcza świat zjawisk fizycznych i moralnych, stanowiących cały wątek rzeczywistości.

Pozytywizm tedy, zgadzając się z narodowem naszem usposobieniem pod względem kierunku, mając te same przymioty i te same charakterystyczne cechy, nie może być przeciwnym narodowemu duchowi, albo, mówiąc wyraźniej, narodowej tradycji i narodowym zadaniom.

Pozytywizm, oceniając życie narodowe, bądź obecne, bądź przeszłe, wyrokuje o niem nie na podstawie jakiejś formułki, wyprowadzonej dedukcyjnie z zasady, która z życiem nie ma nic wspólnego, która jest utworem oderwanej spekulacji lub zabłąkanej w sferach metafizyki fantazji, ale na podstawie danych, jakich ma toż życie dostarcza. Nie prześlepia on wad i zdrożności, nie wzdryga się przed odsłonięciem na publiczny widok owrzodzonych części narodowego ciała, zgangrenowanych jego członków, ku nauce i przestrodze żyjącego pokolenia; ale jednocześnie umie on poznać i ocenić wszystko, co było dobrem i zacnem w naszej przeszłości, co ją podnosi i uszlachetnia. A jeżeli z jednej strony nie znajduje dość słów potępienia dla wszelkiej zbrodni, tak prywatnej jak i publicznej i stawia pod pręgierzem historyczne postacie, skoro na to zasługują, bez względu na to, jak o nich sądzi tradycja, która nierzadko z wierutnych łotrów robi świętych, to z drugiej znowu strony umie uszanować imiona narodowych bohaterów i nie myśli bynajmniej odzierać ich z idealnego uroku, jakim wdzięczne serce narodu otacza drogie sobie postacie. Potępią pozytywizm bezwarunkowo tradycje z czasów saskich, z których piętna głupoty i upodlenia nie potrafią zetrzeć ani Rzewuski ani inni z jego szkoły w powieściach, ani Wincenty Pol w poezjach; ale wysoko ceni i udowadnia z faktami w ręku znaczenie i wartość takich tradycyj, jakie nam zostawili Tarnowscy, Chodkiewicze, Żółkiewscy, Zamojscy, Konarscy, Puławscy, Kościuszko i wszyscy bohaterowie porozbiorowych naszych dziejów, którzy ginąc bądź z bronią w ręku, bądź na szubienicach lub w podziemiach sybirskich kopalni, pozostawili nam wzór hartu duszy i poświęcenia się dla idei, dla narodowej sprawy.

Potrzebaż jeszcze dowodzić po tem wszystkiem, że pozytywizm nie może być szkodliwym dla narodowej sprawy, że ani utrudnia on pod jakimkolwiekbądź względem spełnienie narodowego zadania, ani je przewlec i opóźnić zdoła? Lecz, czy będąc nieszkodliwym, może on być dla nas pożytecznym? czy potrafi zapewnić nam jakąś korzyść, któraby go czyniła potrzebnym, dla której wartoby było pracować nad jego rozpowszechnieniem, spopularyzowaniem u nas?

Już to samo, że pozytywizm stanowi obecnie główny kierunek oświaty, czyni go dla nas potrzebnym, a nawet niezbędnym. Stanowi on dziś naturalny łącznik, jednoczący wszystkie ludy w ich cywilizacyjnych usiłowaniach. Kto pragnie być współpracownikiem na polu powszechnej oświaty, kto pragnie odegrać jakąś rolę w sprawach ludzkości, kto chce dla tejże ludzkości stać się potrzebnym, stać się czynnikiem, z którymby zmuszone były wszystkie narody liczyć się, ten nie może odosabniać się w swych usiłowaniach, naznaczać im odrębne cele, któreby żadnego związku nie miały z dążeniami tak cywilizacji, jak i polityki europejskiej. Mając osobne właściwe naszemu położeniu cele i zadania, musimy je połączyć w jakikolwiek sposób z celami i zadaniami innych narodów, musimy za swoje przyjąć hasła, w imię których dokonywają się dziś w cywilizowanym świecie wszelkiego rodzaju działania i przedsięwzięcia, słowem, musimy się łączyć z innemi narodami w ich usiłowaniach tak na polu nauki i polityki, jak i ekonomicznych stosunków, tak w sferze sztuki, jak i praktycznego życia.

Oprócz tego, że pozytywizm, jako hasło dnia dzisiejszego, otwiera nam wrota do oświaty, zapewnia nam miejsce w kole cywilizowanych narodów, zapewnia on nam inną jeszcze, bliższą bezpośrednio nas dotyczącą korzyść. Jeżeli się zastanawiał kto poważnie nad naszem usposobieniem w obecnej dobie, ten nie mógł nie spostrzedz że do wad narodowych, związanych ściśle z naszym temperamentem, wad, któreby można sprowadzić do jednego mianownika, do *brawury*, przyłączyły się inne, będące następstwem doznanych klęsk, politycznego położenia, warunków bytu, krępujących normalny, właściwy jego naturze rozwój narodu. Wady te również dadzą się sprowadzić do jednej naczelnej będącej dla wszystkich gruntem, jeżeli nie źródłem; jest nią mistyczny nastrój ducha, będący pod względem politycznym rozpaczą, zwątpieniem w naturalne czynniki i zdaniem wszystkiego na Opatrzność, która za nas ma zrobić to, czego my nie umiemy zrobić lub czemu podołać nie możemy. Że ten mistyczny kierunek, poczęty w strasznych wysiłkach narodu, walczącego jak grecki Laokoon z opasującemi jego dzieci i jego samego wężami, walczącego na próżno, został później wykarmiony i wzrósł na romantyzmie i idealnej filozofji, które mu nadały kształt i uzasadniły go, zbytecznem byłoby tu wykazywać. W każdym razie mistycyzm ten, zdający wszystko na Opatrzność, wraz z brawurą, działającą pod natchnieniem gorącej krwi, wybujałej fantazji i rozentuzjazmowanego uczucia stanowią charakter wszystkich naszych czynności, tak prywatnych jak i publicznych, stanowią główny kierunek w naszej literaturze, w nauce i w sztuce, a nawet co gorsza, zostały podniesione do wysokości narodowej zasady, do znaczenia narodowych zalet, zostających w ścisłym związku z dziejową misją, jaką naród nasz miał otrzymać od Opatrzności.

Przeciw tym wadom zgubnym, którym zawdzięczamy tyle klęsk i niepowodzeń, które nadto czynią nas niezdolnemi do zajęcia właściwego w ludzkości stanowiska, które z nas robią anachronizm, budzący śmiech i podziw świata, może skutecznie jeden tylko pozytywizm działać jako naturalna reakcja, jako środek, sprowadzający narodowe siły do normalnego kierunku, otrzeźwiający umysł z sennych marzeń, ze złudzeń zmysłów, na wpół uspionych, leczący z chorobliwej czynności mózg, uległy zboczeniom w swych sprawach żywotnych pod wpływem ciągłego smutku i nieprzerwanych cierpień.

W BAŁKANACH

Opowiadanie z czasów ostatniej wojny wschodniej

KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Przybyłem już późno wieczorem do Adrianopola. Stacja kolei żelaznej bardzo daleko od miasta; znalazłem jakąś płócienną budę na czterech kołach każde innej wielkości i przerzucany jak piłka od jednej do drugiej ściany skrzyni z desek, która tu uważa się za bryczkę, z prawdziwą radością znalazłem się w podwórzu hotelu. Hotelu! nowy to wyraz w Turcji, a pod tym wyrazem—święty Boże! co się ukrywa, tego wy, szczęśliwi mieszkańce krajów komfortu pojąć nawet nie zdołacie. Deszcz nie padał, ale lał ciągle, dobrnąłem w błocie po kolana do izby, noszącej napis francuski: Chambre Nr. 3; — ani jednej szyby w oknie! papier napuszczony oliwą miał pretensją zastąpić szkło, czuł jednak, że się nie w swoje rzeczy wdaje i dla większej przezroczystości przyzwał w pomoc dziury. Dziura w papierze w oknie, cóż to za pokusa dla wiatru; to też wpadał tu co chwila, furkotał strzępami kart i muzyk przerobiwszy je w instrumenta dęte, wygrywał na dziwnych piszczałkach, fagotach, fagockach. „Czy nie ma innego numeru?“ Jest pierwszy, ale stolarz nie skończył mi dziś okien, będą jutro gotowe; — Nr. 2. ma dobre okna, ale tam kapusta złożona i....—ANr. 4? Nie ma czwartego! — wypadło więc pozostać w Nr. 3. Spiąc na lada

czem—łóżko żelazne, wysokie, z prześcieradłami czystemi, to niespodzianka w hotelu tak miła, że pogodziłem się z wiatrem i jego muzykalnemi improwizacjami i rzuciłem się z rozkoszą w objęcia bóżka snn. Nie długo jednak spałem spokojnie; rozwiozły się poprzeczne żelaza łóżka; zdawało mi się, że wpadam w jakąś przepaść. Przebudzony, osądziłem że zawsze jeszcze leżę wygodnie, i nie zważając na zimny prąd wiatru wdzierającego się do Nr. 3. wielkiemi szczelinami pod i nad progiem, zasnąłem znowu, ale znalazło się z parę tuzinów- szczurów, co sobie za salę balową wybrały mój Nr. 3. i w zapędzie pląsów nie omijały mego posłania, owszem, zdawały się mieć szczególniejszą przyjemność wskakiwać mi na głowę. Zamiauczałem jak kot: cisza — nie na długo, bo szczurze wesele znowu się zebrało, nie zważając nawet na moje miauczenie. Jeszcze przed wschodem słońca zerwałem się z posłania i przekonałem się, że nie dosyć byłem przezorny rzeczy moje zawieszając na kołku; sufit właśnie w tem miejscu miał szpary; całą noc kropla po kropli ciekła sobie na wszystko, co na tym nieszczęsnym kołku wisiało, tak, że trzeba było ubranie wyżymać. Począłem wołać na służbę; w lesie echo przynajmniej odpowiada, w hotelu posiadającym chambre Nr. 3. nie tylko żywa dusza, echo się nawet nie odzywało. Co tu robić? wymyśliłem sobie dzwonek, które nareszcie usłyszano: wypaliłem z rewolwera raz, drugi, trzeci—zbladły gospodarz uchylił drzwi przerażony, wołam go—drżący nie śmie przestąpić progu, aż dowiedziawszy się o co chodzi, zabrał moją odzież do suszenia z prożbą, żebym go w ten sposób nie wołał, bo miasto jest w stanie oblężenia.

Koło południa poszedłem do gubernialnego pałacu aby odwiedzić Ahmeda Wefika Paszę, prezesa zgromadzenia Narodowego a dziś gubernatora wielkiego Wilajetu Adrianopolskiego, którego znam od bardzo dawna. Wchodziłem właśnie do oficera służbowego, aby był łaskaw oddać paszy mą kartę—gdy spostrzegłem w wielkiej sieni dwie wysokie jak tyczki damy, w szalach perskich i w wysokich jak buty kaloszach; po praktyczności tego obuwia na błotnych ulicach Adrianopola poznałem Angielki. Prowadził je młody z czarnemi wąsikami schludnie i zgrabnie ubrany *czausz*, t. j. podoficer, żandarm. Naturalnie gubernator, grzeczny jak Paryżanin, damom dał przedemną pierwszeństwo. Jedna Angielka, wnosząc po jej znajomości tureckiego języka, zapewnie żona jakiego konsula, w podeszłym już dobrze wieku, sztywna wyciągnęła długą śpiczastą nogę, z której podoficer zdjął kalosze trochę się rumieniąc wystawiony na spojrzenie zdumiałych mahometańskich widzów, których pełno było w sieni, odebrał szal i zabrał się z lekkim ledwie dostrzegalnym uśmiechem zadowolenia do kaloszów towarzyszki—i z prawdziwą salonową gracją zdjął ciężki jej szal i zawiesił go sobie na ręku. Nie wiem co młoda i wcale nieszpetna Angielka wyczytała w mem oku, które zwyczajem swoim nie mając nic lepszego do czynienia, oddawało się spostrzeżeniom, dość że zarumieniła się po uszy i prawie bym przysiągł że odgadła com myślił. Scena ta kaloszów przyniosła mnie myśląc do Tadmoru (Palmyry) gdziem widział jedną wyspiarkę bardzo bogatą, która pokochała się w prostym beduinie (w lecie nadzwyczajnie lekko się ubierającym) i poszła za niego; dla czegóżby czausz ten, kształtów Apollina Belwederskiego, nia miał mieć beduińskiego szczęścia ??

Po wejściu dam do salonu, dowiedziałem się od czausza, że te panie przybyły dla wsparcia ubogich i sierot. których jesl tysiące w Adrianopolu umierających w najstraszniejszej nędzy; nie długo w ślady za Angielką przyszedł wybladły głód i zaległ sień całą, czekając wyjścia chlebodawczyń. Konferencja z gubernatorem, do której powołane zostały szarytki i duchowni różnych wyznań, długo trwała. Przez ten czas czausz widać z nudów zabrał się do obtarcia z błota kauczukowych bucików dam — zaczął od młodszych — to czysty przypadek—przetarł je kawałkiem rogóżki a potem przyprowadził je do blasku pożyczoną od kawiarza ścierką i postawił przy ścianie z prawdziwem zadowoleniem. Podszedłem do czausza—ot prosta ciekawość, chciałem się dowiedzieć czy podoficer dodany do posługi damom zmienia się co dzień — „nie efiendim, jestem od chwili ich przyjazdu.“ Zagawędziłem się z czauszem i zapomniał o kaloszach starszej Angielki, byłbym prawdziwie złośliwym, godnym żebyście mnie panie skarciły, gdybym śmiał przypuścić newet, że nie miał zamiaru ich oczyścić. Wróciły panie — szal starszej powrócił na jej ramię, a kalosze zabłocone na chudą długą jej nogę, w czem musiał im czausz dopomagać; kręciłem cygaretko. oko wdół na nie spuściwszy, co mi nie przeszkodziło widzieć, że młodsza tym czasem z pośpiechem sama włożyła swe kalosze, spojrzała na mnie i na nieszczęście musiała spostrzedz, że nie tylko cygaretko widzę, bo się znowu zarumieniła. Kończąc zwijać cygaretko, pomyślitem sobie, jak są nieszczęśliwi ludzie, którzy bez powodu, przy lada czem się rumienią. Gdybyśmy uwzględnili tą łatwość rumienienia się bez przyczyny, z pewnością bylibyśmy mniej podejrzliwi; mniej byłoby niepoczciwych sądów i mniej ploteczek — rzekłem jednakże sobie pod wąsem: kiedyś się zarumieniła gdym się przyglądał jak czausz ci zdejmował kalosze, trzeba było zarumienić się raz drugi i dać je sobie włożyć, tem bardziej, że je tak pięknie wytarł,—zbiłabyś mnie z obserwacyjnego mojego stanowiska.

Deszcz doprowadzał gubernatora do rozpaczy; uważał go za straszną klęskę i miał słuszność; ulewy mniej więcej długie są prawie co rok w tej porze, nie przynoszą szkód żadnych, chyba zerwą jaki stary zły most;—tego jednak roku na Podbałkaniu podchwyciły całe żniwo w snopach pozostawione na polach; mieszkańców jednych Bułgarzy z Moskalami, drugich Turcy wymordowali; inni pouciekali Bóg święty wie gdzie? Sprzęt był taki, o jakim od lat pięćdziesięciu nikt nie słyszał; rola dała pięć snopów, bujnego, bogatego kłosa, tam gdzie zwykle bywał jeden tylko. Rząd pozwolił sprzątać każdemu kto zechciał, z warunkiem oddania do magazynów skarbowych jednej trzeciej omłotu; deszcze zniszczyły wszystko! Smutna przyszłość biednego kraju, gdzie już teraz taka nędza, że jej w pomoc przychodzić musi zagraniczna dobroczynność. Oh, drogie panie moje, jakiż to niwelator z tej nędzy! jak równa wszystko! Widziałem razem zebrane różne wyznania, byli przezroczystej głodowej bladości, wszyscy różne narodowości, płeć i wiek różny, wszyscy wyciągali ręce równie wychudłe i drżące po kawałek chleba lub stary łachman!

Rzucam zasłonę na ten widok rozdzierający.

Prowadzono kilku Bułgarów przed sąd wojenny! nie jeden z nich wyjdzie z wyrokiem na szubienicę; dla czegoż ja, co tylu liczę braci których szlachetne życie stryczek zdusił, patrzę prawie z obojętnością na tych nieszczęśliwych? Czy dla tego, że Bułgar nie dorósł jeszcze do zaszczytnej męczeńskiej śmierci za Ojczyznę, której nie ma, za wiarę której nie rozumie; czy dla tego, że ta szubienica jest expiacją oburzającego barbarzyństwa? Dziwnie się miesza w uczuciu mojem dla tych nieszczęśliwych litość ze wzgardą. Ani jeden skazany na śmierć nie czuł w sobie obowiązku własną śmiercią pokryć swych towarzyszów:—mnie powiesicie! dla czegóż nie wieszacie Piotra, Pawła i Petki? oni gorsi odemnie; Piotr, Paweł, Petko schwytany i skazany na śmierć woła: dla czegóż ma żyć Jowanczo, Dymitry, kiedy ja umieram!!!

Powieszono jednego popa, którego zdradził smród gnijących trupów tureckich w jego piwnicy; skryli się nieboracy u niego, jako u księdza, żeby ich ratował od rzezi—schował ich w piwnicy, ale ich ciała zmartwychwstaną w dzień sądu ostatecznego!

Powieszono dwóch Bułgarów za to, że schwytawszy kilkoro tureckich dzieci, uzbroili w noże swoje dzieci i podszczuwali do mordu niewiniątka na niewiniątka. Opowiadano mi straszny, rozdzierający epizod z tej piekielnej sceny: Mała dziewczynka śliczna jak anioł, przypięła się do nóg kilkoletniego chłopaka i tak go błagała: „tyś taki piękny! ty musisz być dobry — patrz i ja piękna! nie zabijaj mnie, nie daj mnie zabić! będę potem twoją, nie zabijaj mnie!“

Znam krwawe dzieje barbarzyństwa Dżengishanów, Timurów, Drakulów, na wspomnienie których włosy się jeżą ze zgrozy. Hakem przywiązujący złośliwą małpę na wielbłądzie za plecami skrępowanego swojego nauczyciela i śmiejący się do rozpuku na każde uderzenie łapy małpiej, uzbrojonej w kokosowy orzech, w głowę starca powoli krwią się zalewającą, dopóki małpa do mózgu się nie dokuła; Hakem, mówię, był dla mnie najpodlejszym wyrafinowanym tyranem, (potwór ten miał lat dwanaście), dziś u mnie w drugim stoi planie,—szatański duch jego może Bułgarom zazdrościć. Widziałem kilkadziesiąt fotografii dzieci, kobiet, starców tureckich najohydniej poranionych; rany te, —miejsca ran..... cóż to za straszne świadectwo przeciw temu ludowi, który Moskale nazywają bratnim!

I na to rzućmy zasłonę.

Dowiedziałem się od gubernatora, że komunikacja między Sofją a Plewną jest otwarta; jakże się oprzeć ciekawości zobaczenia tego Sewastopola, który zaimprowizował żelazny Osman i którego broni z taką klęską Moskali i bronić będzie dopóki go nie zgubi niedołęstwo innych wodzów tureckich i strategja stambulskich ministrów i jenerałów! Plewna, to nieśmiertelny pomnik zasługi Osmana i hańby dla Turków! Bodajbym się omylił.

Szybko się zdecydowałem i zaopatrzywszy się w pismo od gubernatora wyszedłem z pałacu i dostawszy sobie doskonałego konia przebiegłem okolice Adrianopola, które znam od dawna i nowo usypane fortyfikacje i reduty, które poczynają się jeżyć działami. Roboty inżynierskie dobrze wykonane, działa nowego systemu pyszne. Dowodziłoby to, że Turcy myślą się tu bronić, jeśli na duchu nie upadną—bronić się mogą, bo to umieją.

Nazajutrz ze świtem puściłem się przez Fi-

lipopoli do Tatar Bazardżyku, drogą żelazną. Pociąg miał czterdzieści kilka wagonów zapełnionych bombami, sucharami, żołnierzem, chirurgami, i służbą do Croissant Rouge i Stratfourt - house, stowarzyszeń dla pomocy rannych. Skrzyżowałem się w drodze z pociągiem idącym z Filipopoli, sami wojskowi, doktorzy i ranni!

Późno w noc przybyłem do Tatar Bazardżyku, miasta rozwlekłego, w którego opis nie mam czasu wdawać się w tem piśmie, które i tak długością swoją może wyczerpać wielki zapas waszej, panie moje, cierpliwości. Ztąd do Sofji trzeba jechać konno lub bryczką, a jest mil polskich 18. Jest tu poczta, ale wyjątkowo tyle jest przejazdów, że na zajeżdżone konie i na rozbite bryczki całemi dniami czekać trzeba. Uważałem się za szczęśliwego, gdy nazajutrz pod wieczór z pomocą cywilnych władz i wojskowych zapewniłem sobie kryty wóz i trójkę zdrowych koni na jutro rano. Na samem już prawie wsiadaniu spostrzegłem z nieśmiałością kręcącego się koło mnie Anglika; zrozumiałem o co chodzi „Pan czekasz na konie i nie doczekasz się ich; nie mam bagażów, czy panu mogę proponować moje towarzystwo?“ Jakże pan jesteś uprzedzająco grzeczny! jeśi nie ma w tem nadużycia z mej strony, pozwól etc. etc. Pobiegł Anglik po swój patent - skórzany kuferek, ja tym czasem w składzie naprzeciwko upatrzywszy wązką a długą poduszkę, wiąłem ją i kupiwszy dwa rzemyki przyszywałem do nich sprzączki. Zastał mnie Anglik przy tej robocie i przyglądał się rzemykom, łamiąc sobie głowę na jaki mogą być użytek! Zaprzężono konie, siedliśmy do naszego krytego woza, który za całe siedzenie miał gołą wązką z desek skrzynię; wypogodziło się i dosyć było ciepło, twardość więc siedzenia, bez narażenia się na zimno złagodziłem nieco moją burką. Anglik począł spoglądać na moją poduszkę, której długość odpowiadała doskonale skrzynce, jednak bez użytku oparta została o płótno budy; końce rzemyków wyglądały mi z kieszeni. „Pan znasz tę drogę?“ Znam — „Czy znajdziemy co jeść?“ Być może, ale wątpię, — jeżeli nie jesteś w żywność zaopatrzony mogę pana poczęstować filiżanką dobrego buljonu, a może znajdzie się co jeszcze do skompletowania przegryzki. Pan tak uprzedzająco grzeczny, etc. etc. etc. Jednak mój towarzysz oglądał się to na na mnie, to na bryczkę, i widząc tylko lunetę przewieszoną przez me plecy i rewolwer, nie bardzo musiał wierzyć w obfitość mojej żywności. Mylił się. „Radbym dzisiaj wieczorem stanąć w Sofji,— rzekłem do mojego towarzysza—czy pan się zgadza na to?“ Lubię prędką jazdę, nadzwyczajnie lubię. „A to mnie cieszy, odpowiedziałem z lekka uśmiechnąwszy się, a pomyślałem sobie: no! nie zapomnisz ty w życiu swojem tej jazdy! Na wyjezdnem z miasta kazałem pocztyljonowi kupić chleba—a teraz bracie (kadatzim) oto połowa twego bakszyszu, widzisz, że nie papierek; na wieczór w Sofji, dzisiaj na wieczór, druga połowa i dodatek, a teraz ruszaj! „Peki effendim!“ Zaciął konie mój Turek i puściliśmy się wyciągniętym kłusem. Droga żwirówka, choć od kilku lat nie utrzymywana, wcale jeszcze jest drobra aż do Wetrina, gdzie przebywa się pas gór poprzecznie leżący pomiędzy Bałkanem a Rodopą, bardzo tu blisko od siebie równolegle się ciągnących; w milczeniu więc z twarzami wesołemi siedzieliśmy w szybko toczącym się wozie i nie spostrzegliśmy się, gdy pocztylion zatrzymał się w Wetrynie, aby dać koniom wytchnąć po trzydziestu kilometrach biegu. W karczmie nie było nic prócz wódki i niegodziwego kwaśnego wina; trzeba było uciec się do mojego magazynu, który mam w kamizelce bardzo praktycznego kroju, pozwalającego ukryć dobrze żywność na kilka dni. Wędzony język adrianopolski zyskał wielkie pochwały mojego towarzysza; o bulionie nie ma co mówić, bo polskiej domowej był roboty. Gdyśmy po popasie stępą kończyli wdźwigiwać się na najwyższy punkt przejścia górnego, kazałem zatrzymać się pocztylionowi i zeszedłem obejrzeć wóz; był mocny, bo zupelnie nowy, ale jako krótki, mający siedzenie wprost na osi, obiecywał trząść okropnie; pokrycie spoczywało na czterech słupkach związanych silną poprzecznicą, która siedzącemu przypadała na tył głowy, nie wiem jak zowiący się po polsku, jest to *la nuque* Francuzów — Anglik mój, przypatrywał się w milczeniu, jak przypinałem moją poduszkę rzemykami, jednym na plecach, drugim na czole, utrzymując tem samem poduszkę na cal powyżej głowy wysuniętą. Bez hamulca potoczył się wóz po spadach szosy, którą wody tu i owdzie w różne gzygzaki poorały; biedny Anglik i jego koferek (naturalnie i ja) skakali podrzucani do góry, miotani na lewo, na prawo— a ta nieszczęśliwa poprzeczka jakże była niemiłosierna, nawet i dla mnie, chociaż mnie dobrze chroniła poduszka. Za każdem silniejszem uderzeniem wołałem skarżącym się głosem: „mon Dieu, ma tete! ma pauvre tete!“ w końcu mój towarzysz rzekł mi: „mèchant homme! ne crier pas ma tete, mais vôtre tete, votre pauvre tete! arretez, arretez je suis meurtri! Pięć minutek jeszcze panie, jest równinka, tu żadna potęga rozpędu wózka nie zatrzyma. Na równince wyskoczył Anglik, porwał swój kuferek, sądziłem, że chce uciekać; otworzył go tylko i elegancki swój paletot zwinął jak moja poduszka i dwiema kulorowemi chustkami przywiązał do krzyżów i głowy. Takim samym pędem zbiegliśmy z drugiej i trzeciej kondygnacji góry: w czasie piekielnej tej jazdy Anglik wołał à la bonheur! méchant homme! ha ma tete, ma tete! i śmiał się do rozpuku. Do Sofji przybyliśmy o zachodzie słońca; znaleźliśmy Francuza trzymającego dom zajezdny i wolne dwie izby—uścisnął mi Anglik rękę i poszedł za garsonem trzymając się poręczy — był złamany. Bawiłem parę dni w Sofji, starałem go z oczu; przed wyjazdem złapał mnie, zaprosił do siebie, poczęstował kieliszkiem wybornej madery—a potem z uśmiechem pokazał poduszkę, dwa rzemyki i kamizelkę z bułgarskiego jak moja samodziału i tego samego kroju. „Mèchant homme! ha! ma tete! trinquons encore une fois.“ (Dok. nast).

BÓR.

Litewski bór, szumiący bór prastary,
Skąpany w fal kłosianych morzu stał;
Z dalekich stron szły wichry przez obszary
I biły w bór, w szańcowy Litwy wał.

Za borem tym lud mieszkał pod strzechami
I ciszę miał i spokój z wieku w wiek;
Graniczny stróż w zapasy szedł z wichrami,
By grozy burz nie zaznał nigdy człek.

A w puszczy tam, gdzie gasi światło dzienne
Gęszczaru mrok, w odwiecznych cieniu drzew,
Zbłąkany gość, drzemało echo senne:
Odgłosy surm i wajdelotów śpiew.

I zwycięztw wieść, lecąca w kraj przed laty,
Bolesny jęk, gdy Znicz pod krzyżem gasł,
Ton smętnych raud... to wszystko od zatraty
W skarbnicy ech zachował z dawien lat.

O szalał wichr! Niósł klęski, gromy, grady,
Wytężał sił, lecz marniał jego trud —
Graniczny stróż ochraniał od zagłady
Łany i wsie, jak on prastary lud.

Aż smutny czas niewdzięczne wydał plemię,
Wśród mroku puszcz toporów błysła stal,
Zachwiał się bór i padł jak snop na ziemię,
Gromady ech zbudzone pierzchły w dal...

I wstąpił wichr na powalone starce,
Zahuczał w głos wśród żyznych pól i łąk;
Szły za nim w kraj zamieci i burz harce —
Zapłakał lud nad dziełem własnych rąk.

A w smętnych raud dalekim słychać chórze,
Jak woła głos z echami lecąc w świat:
„O Litwo! biedna ty, jak to przedmurze
Pamiątek twych i wspomnień z dawnych lat!“

Czesław.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Tolocototignau.

Otóż dobiegłem do najciemniejszych chwil historji mojej, do dni nędzy i wstydu, które Daniel Eyssette przeżył obok tej kobiety, jako aktor zamiastowego teatru Paryża. Rzecz dziwna! Ten ustęp życia mego, tak hałaśliwy, tak pełen wypadków i ruchu, pozostawił mi po sobie więcej zgryzot niż wspomnień.

W tym zakątku mojej pamięci nie widzę nic, nic wyraźnie, wszystko poplątane, pogmatwane...

Ale zaczekajcie!... Niech tylko zamknę oczy i dwa lub trzy razy zanucę ową dziwaczną a tak smutną zwrotkę: *Tolocototignau! Tolocototignau!* a natychmiast jakby siłą zaklęcia uspione wspomnienia przebudzą się, zmarłe godziny powstaną ze swych grobów, i ujrzę tego Małego takim, jakim był wówczas, w wielkim nowym domu przy bulwarze Montparnasse, między Irmą Borel, która uczyła się ról swoich i Białą-kukułką, która spiewała bezustannie:

Tolocototignau! Tolocototignau!

Okropny dom! Widzę go teraz jeszcze, widzę, tysiąc okien jego, zieloną lepką poręcz u schodów, rozdziawione rynny, numerowane drzwi, długie białe kurytarze, które czuć świeżem malowidłem... zupełnie nowem a już brudnem!...

Było tam sto ośm pokoi; w każdym po-

koju jedna rodzina. A jakie rodziny!... Po całych dnjach sceny, krzyki, stuk, bijatyka; w nocy pisk dzieci, chód bosych nóg po podłodze, a potem monotonny, ciężki ruch kolebek. Od czasu do czasu dla odmiany odwiedziny policji.

Tam to, w tej jaskini o siedmiu piętrach, Irma Borel i ten Mały ukryli miłość swoją... smutne mieszkanie i bardzo stosowne dla gościa takiego... Wybrali je, bo znajdowało się w pobliżu teatru; a przytem, jak we wszystkich nowych domach, nie drogo płacili za nie. Za czterdzieści franków mieli dwa pokoje na drugiem piętrze, z maluczkim balkonem na bulwar; najpiękniejszy apartament hotelu. Wracali do siebie co wieczór popółnocy, po ukończeniu przedstawienia. Posępny to był powrót przez wielkie puste aleje, po których przesuwały się milczące bluzy, dziewczęta z odkrytą głową i długie surduty patrolów.

Szli prędko, środkiem drogi. Przyszedłszy do domu, posilali się kawałkiem zimnego mięsa. Biała-kukułka czekała na nich... bo Irma Borel zatrzymała przy sobie Białą-kukułkę. Jegomość od ósmej-do-dziesiątej odebrał swój powóz, swoje meble, swoje sprzęty stołowe. Irma Borel zatrzymała swoją murzynkę, swego kakatoe, trochę klejnotów i wszystkie swe suknie. Naturalnie, że te ostatnie służyły jej do występów na scenie; ogonami z aksamitu i mory niepodobna było zamiatać zewnętrznych bulwarów... One same tylko zajmowały jeden z dwóch pokojów. Porozwieszano je do koła na stalowych hakach; wielkie ich jedwabne fałdy i żywe barwy dziwnie odbijały od wytartej podłogi i zblakłych mebli. W tym pokoju spała murzynka.

Umieściła tam swój siennik, swoją podkowę, swoją butelkę z wódką; tylko, obawiając się pożaru, nie dano jej świecy. To też w nocy, kiedy wracali, Biała-kukułka, siedząc na sienniku, między temi tajemniczemi sukniami, wyglądała przy świetle księżyca jak stara czarownica, postawiona przez Sinobrodego na straży siedmiu wisielców... Drugi pokój, mniejszy od tego był dla nich i dla kakatoe. Miejsca w nim tyle tylko było, ile trzeba na jedno łóżko, trzy krzesełka, stolik i wielki pręt o złoconych ramionach dla papugi.

Pomimo tak smutnego i tak ciasnego mieszkania, nie opuszczali go nigdy. Czas, który im pozostawał od teatru, spędzali u siebie, ucząc się ról, co sprawiało okropny hałas. Po całym domu rozlegały się dramatyczne wykrzykniki: „Moja córka, oddaj mi moję córkę! — Tędy, Gaspardo! — Jego imię, jego imię, nędzni-i-i-ku!" A ponad tem wszystkiem przeraźliwy krzyk kakatoe i wrzaskliwy głos Białej-kukułki, spiewającej wciąż:

Tolocototignau!... Tolocototignau!...

Irma była szczęśliwa. Życie to podobało się jej; bawiła ją ta gra wśród ubogich artystów. „Nie żałuję niczego" — mówiła mi często. Czegoż miała żałować? Wiedziała dobrze, że jak tylko nędza zmęczy ją, jak tylko znudzi wino kupowane na miarę i te obrzydliwe potrawy pływające w sosie brunatnym, które przynoszono nam z sąsiedniej garkuchni, jak tylko do syta będzie miała już dramatycznej sztuki, wiedziała dobrze, że wróci wówczas do dawnego życia swego. Poruszy tylko jednym palcem, a odzyska wszystko, co straciła.

Ta myśl dodawała jej odwagi i dyktowała wyrazy: „Nie żałuję niczego." Ona nie żałowała niczego, ona; ale on, on?...

Oboje wystąpili po raz pierwszy w *Gaspardzie Rybaku*, jednej z najefektowniejszych sztuk melodramatycznych. Przyklaskiwano jej bardzo, naturalnie nie za grę, gesta śmieszne, głos niestosowny, ale za śnieżne ramiona, za suknie aksamitne. Publiczność tamta nieprzyzwyczajona jest do olśniewającej wystawy ciała i pysznych sukien po czterdzieści franków metr. Na sali mówiono: „To księżna!" i z zachwyceniem klaskano, aż się sala trzęsła...

On nie miał takiego powodzenia. Powiedziano, że był nadto małym; a przytem bał się, wstydził. Mówił cicho, jak gdyby na spowiedzi: „Głośniej! głośniej!" wołano. Ale gardło mu się zaciskało, i słowa więzły w niem niedomówione. Wygwizdano go.. Cóż chcecie? Napróżno Irma dowodziła, nie było powołania. A zresztą czyż dla tego, że ktoś jest złym poetą, to ma być dobrym aktorem?

Kreolka pocieszała go jak mogła: „Nie zrozumieli charakteru głowy twojej..." — mówiła mu często. Co do dyrektora, ten nie pomylił się wcale co do charakteru głowy jego. Po dwóch burzliwych przedstawieniach, przywołał go do siebie i rzekł: „Mój mały, dramat nie jest dla ciebie. Zbłądziliśmy. Spróbujmy wodewilu. Sądzę, że w komicznych rolach pójdzie ci bardzo dobrze." I zaraz nazajutrz spróbowano wodewilu. Grał role pierwszych komicznych kochanków, zahukanych chłopaków, którym dają do picia limonadę zamiast szampana, i którzy biegają potem po scenie, trzymając się za brzuch; gapiów o rudych perukach, którzy płaczą jak cielęta; zakochanych wieśniaków, którzy przewracając oczami, mówią: „Panno, kocham was bardzo!... oh! doprawdy, kocham was ogniście!"

Grał rolę wszystkich śmiesznych, wszystkich bojaźliwych, wszystkich brzydkich, i muszę wyznać prawdę, grał ją nieźle. Biedak miał powodzenie: śmieszył!

Wytłumaczcie to, jeżeli możecie. Kiedy był na scenie, umalowany, ustrojony, obwieszony gałgankami, właśnie wtenczas myślał o Jakóbie, o czarnych oczach. Wśród najgłupszego konceptu, najśmieszniejszego grymasu, obraz tych istot ukochanych, które tak haniebnie zdradził, stawał przed jego oczami.

Co wieczór prawie, nagle zatrzymywał się w samym środku tyrady i, nic nie mówiąc, z gębą otwartą patrzał na salę. W tych cwilach dusza jego wymykała się z ciała, jednem uderzeniem skrzydeł przebijala sufit teatru i daleko ulatywala, niosąc słówko przyjaźni dla Jakóba, pocałunek dla pani Eyssette, prośbę o przebaczenie dla oczu czarnych; gorzko skarżyła się przytem na smutne rzemiosło, na które ją skazywano...

„Oh! doprawdy, kocham was ogniście!..." — odzywał się nagle głos suflera, i ten Mały budził się jak ze snu, spadał z nieba swego, wodził do koła wielkiemi zadziwionemi oczami, w których malował się przestrach tak naturalny, tak komiczny, że cała sala wybuchała homerycznym śmiechem. W teatralnym języku nazywa się to efektem. Niechcący zrobił efekt.

Trupa do której należał, obsługiwała gmin kilka. Był to rodzaj wędrownej trupy, grywającej w Grenelle, w Montparnasse, w Sèvres, w Sceaux, w Saint-Cloud. Omnibus teatralny, służył do przewożenia się z miejsca na miejsce, wszystko i wszyscy pakowali się do starego omnibusu, pomalowanego na kolor czekoladowy i ciągnionego przez konia suchotnika. W drodze spiewano ,grano w karty. Ci, którzy nie umieli ról swoich, usuwali się w głąb i odczytywali je. Było to zwykłe miejsce tego Małego.

Siedział tam smutny i milczący, jak zwykle wielcy komicy, głuchy na wszystkie trywialne głosy, co obijały się o uszy jego. Pomimo, że tak nizko upadł, wędrowna ta lichota teatralna była jeszcze niżej od niego. Wstydził się towarzystwa tego. Kobiety w ogóle stare z pretensją, zwiędłe, pomalowane, wymuszone, przesadne. Mężczyźni, ludzie pospolici, bez ideału, bez ortografji, synowie fryzjerów lub małych kupczyków, którzy chwycili się aktorstwa przez lenistwo, chęć do błyskotek, do kostiumu, dla pokazania się na scenie w cielistych trykotach i w surdutach à la Souvaroff; Lowelasy rogatek, zawsze zajęci ubiorem swoim, wydawali płacę całą na fryzury i z wyrazem rzeczywistego przekonania mówili: „Dobrze pracowałem dzisiał," kiedy spędzili godzin kilka, robiąc dla siebie z dwóch metrów glansowanego papieru parę butów à la Ludwik XV... W istocie, warto było wyszydzać muzykalny salon Pierrotte'a, ażeby rozbić się potem w tej krytej bryce teatralnej.

Dla dumnego milczenia i wiecznie niezadowolonej miny, koledzy nie lubili go. Mówili o nim, że "skryty". Przeciwnie, kreolka wszystkie serca zjednała sobie. Królowała w omnibusie jak szczęśliwa księżna; śmiała się serdecznie; odrzucała w tył głowę, dla pokazania pięknej szyi; do wszystkich mówiła „ty", mężczyzn nazywała „mój stary", kobiety „moja mała", i dokazała tego, że wszyscy bez wyjątku nazywali ją „dobrą dziewczyną". Dobra dziewczyna, co za ironia!...

I tak jadąc, śmiejąc się, wśród gradu grubych żartów, przybywano na miejsce przedstawienia. Po skończonem widowisku, przebierano się w mgnieniu oka i prędko wsiadano do powozu z powrotem do Paryża. Wtenczas ciemno już było. Rozmawiano po cichu, w ciemności trącając się kolanami. Od czasu do czasu przytłumiony śmiech dawał się słyszeć... Przy rogatce przedmieścia Marne omnibus zatrzymywał się. Wszyscy wysiadali, i całą gromadą odprowadzano Irmę Borel aż do drzwi wielkiego domu, gdzie Biała-kukułka, prawie zupełnie pijana, czekała na nich ze smutną piosenką:

Tolocototignau!... Tolocototignau!...

Widząc ich tak przykutych jedno do drugiego, możnaby było sądzić, że się bardzo kochali. Nie! nie kochali się. Za nadto dobrze znali siebie wzajemnie. On wiedział, że ona fałszywa, zimna, bez serca. Ona wiedziała, że on miękki i słaby aż do podłości. Ona mówiła sobie: „Brat jego wróci kiedyś i zabierze mi go dla oddania tej jego kupcowej porcelany." On mówił do siebie: „Wkrótce zmęczona tem życiem teraźniejszem, ucieknie z jakim panem od ósmej-do-dziewiątej, a ja pozostanę sam w tem błocie"... Wieczna ta obawa utracenia się, to był rdzeń ich miłości. Nie kochali się, a jednak byli zazdrośni o siebie.

Rzecz dziwna, nieprawdaż? Żeby tam gdzie nie ma miłości, mogła być zazdrość. A jednak, było tak... Kiedy ona poufale rozmawiała z którym z aktorów, on bladł. Kiedy on otrzymywał list, ona chwytała go i drżącemi rękami otwierała... Najczęściej był to list od Jakóba. Odczytywała go aż do końca, wciąż szydząc; potem rzucała, mówiąc pogardliwie: „Zawsze to samo". Niestety! tak, zawsze to samo, to jest zawsze: poświęcenie się, szlachetność, zapomnienie o sobie. Dla tego to nienawidziła tak bardzo Jakóba...

Poczciwy Jakób nie domyślał się tego. On się niczego nie domyślał. Pisano mu, że wszystko idzie dobrze, że trzy czwarte tomów *Komedji sielankowej* zostały sprzedane, i że kiedy termin wekslów nadejdzie, dostateczna ilość pieniędzy znajdzie się u księgarzy na spłacenie ich. Dobry i ufający jak zawsze, regularnie posyłał sto franków nn miesiąc na ulicę Bonaparte, gdzie Biała-kukułka chodziła po nie.

Ze stu franków Jakóba i płacy, pobieranej w teatrze, mogli żyć dobrze, szczególnie w tym cyrkule biednych ludzi. Ale ani on, ani ona nie wiedzieli, jak to powiadają, co to są pieniądze: on dla tego, że nigdy ich dotąd nie miewał; ona dla tego, że za wiele ich zawsze miewała. To też marnotrawili je, marnotrawili! Od 5 każdego miesiąca, kasa, mały pantofelek ze słomy kukurudzianej, kasa była pusta. Najprzód sam kakatoe kosztował tyle, co utrzymanie jednej dorosłej osoby. Następnie bielidło, pudr, proszek do zębów, zajęcze łapki, to jest wszystkie przybory teatralnego malarstwa. Teatralne broszury były też nadto stare, nadto pomięte; pani żądała nowych broszur. Potrzebowała też kwiatów, dużo kwiatów. Zgodziłaby się prędzej nie jeść, aniżeli widzieć pustki w swoich koszach do kwiatów.

We dwa miesiące zadłużyli się po uszy. W hotelu, w restauracji, u odźwiernego w teatrze, wszędzie mieli długi. Od czasu do czasu, któryś z dostawców niecierpliwił się i rano wpadał z hałasem do nich. Wówczas, nie widząc innego ratunku, prędko posyłano do drukarza *Komedji sielankowej* i pożyczano u niego kilka luidorów na rachunek Jakóba. Drukarz, który miał w swoich rękach drugi tom znakomitych pamiętników i wiedział, że Jakób jest jeszcze sekretarzem Hacqueville'a, nie odmawiał pożyczki. I tak od luidora zebrała się suma czterystu franków, które wraz z dziewięciuset frankami za *Komedję sielankową* powiększyły dług Jakóba do tysiąc trzysta franków.

Biedny Jakób, ileż nieszczęść czekało go za powrotem! Daniel znikł, czarne oczy tonęły we łzach, ani jednego tomu książki nie sprzedano i tysiąc trzysta franków do zapłacenia. Jak sobie da radę z tem wszystkiem?... Kreolka nie troszczyła się o to wcale. Ale on, ten Mały, nie mógł opędzić się tej myśli. Ciągły, bezustanny niepokój dręczył go. Naprożno starał się rozerwać, pracował jak muł (i nad czem pracował, wielki Boże!) uczył się nowych konceptów, nowe przed zwierciadłem swojem wyprawiał grymasy, ale zawsze w zwierciadle widział twarz Jakóba zamiast swojej; między wierszami roli swojej, zamiast Langlumeau, Josias'a i innych postaci wodewilu, czytał imię Jakóba; Jakób, Jakób, zawsze Jakób!

Co rano z przestrachem zaglądał do kalendarza i, rachując dnie, które pozostawały do pierwszej spłaty weksli, mówił do siebie drżąc: „Już tylko miesiąc... tylko trzy tygodnie!“ Bo wiedział dobrze, iż za pierwszym zaprotestowanym wekslem, wszystko się wykryje, i że męczeństwo brata zacznie się od dnia tego. Myśl ta prześladowała go nawet we śnie. Czasami zrywał się nagle w nocy, z sercem ściśniętem, z twarzą zalaną łzami, z niewyraźnem wspomnieniem strasznego a dziwnego snu, który zbudził go właśnie.

Sen ten, zawsze ten sam, co noc prawie powtarzał się. Było to w jakimś pokoju nieznanym. gdzie stała wielka szafa ze starem okuciem. W pokoju tym na kanapie leżał Jakób blady, straszliwie blady; tylko co właśnie umarł. Kamilla Pierrotte była tam także i, stojąc przed szafą, chciała wydostać z niej całun. Ale nie mogła otworzyć szafy i, wodząc kluczem koło zamku, mówiła głosem rozdzierającym: „Nie mogę otworzyć... Za wiele płakałam... nie widzę nic...“

Sen ten okropne robił wrażenie na tym Małym, naprożno starał się otrząsnąć z niego, naprożno rozumował. Jak tylko zamknął oczy, widział Jakóba wyciągniętego na kanapie i Kamillę ślepą, przed szafą... Wszystkie wyrzuty sumienia, wszystkie te obawy czyniły go co raz bardziej ponurym, co raz więcej drażliwym. Ze swojej strony kreolka nie grzeszyła cierpliwością. Zresztą czuła niewyraźnie, że niewolnik wymyka się z pod jej jarzma, a nie wiedziała jakim sposobem, i to ją rozjątrzało. Co chwila wybuchały jakieś straszne sceny: krzyki, obelgi, jak między praczkami.

Ona mówiła do niego: „Ruszaj do twojej Pierrotte, niech ci daje cukrowe serduszka.“

A on na to: „Wracaj do twego Pachero, niech ci przerznie wargę.“

Ona go nazywała: „Mieszczuchem!“

On ją: „Łajdaczką!“

Potem oboje zalewali się łzami i wzajemnie przebaczali sobie, a nazajutrz znowu ta sama historja powtarzała się.

I tak żyli z sobą, nie! nie żyli, tylko gnili, przykuci do jednego łańcucha, leżeli w jednym rynsztoku... I to życie w błocie, te godziny okropne przesuwają się dzisiaj przed oczyma memi, kiedy nucę zwrotkę murzynki, dziwaczne i melancholiczne:

Tolocototignau! Tolocototignau!

XIII.

Porwanie.

Było to pewnego wieczora, koło godziny dziewiątej, w teatrze Montparnasse. Ten Mały, który grał w pierwszej sztuce, skończył był właśnie rolę swoją i wracał do swej loży. Idąc po schodach, spotkał się z Irmą Borel, która miała wejść na scenę. Cała w aksamicie i koronkach z wachlarzem w ręku jako Celimena, jaśniała zadowoleniem.

— Przyjdź na salę — rzekła mijając się z nim — jestem dobrze usposobiona... będę bardzo piękna.

Przyspieszył kroku do loży swojej i prędko rozebrał się. Loża ta, którą miał na wspólkę z dwoma kolegami, był to gabinet bez okien, o nizkim suficie. Dwa lub trzy krzesła wyplatane słomą stanowiły całe umeblowanie jego. Wzdłuż ścian wisiały kawałki zwierciadeł, peruki, łachmany naszywane błyskotkami, wyblakły aksamit, wytarte szychy. Na ziemi, w kącie słoiki z różem, bez pokrywek, oskubane puchy do pudru.

Ten Mały zajęty był właśnie rozbieraniem się, kiedy usłyszał, że maszynista woła go z dołu: „Panie Danielu! panie Danielu!“ Wyszedł z loży swej i, przechylając się przez poręcz schodów, zapytał: „Co tam?“ Ale widząc, że nikt mu nie odpowiada, zeszedł tak jak był, na wpół ubrany, pomazany bielidłem i różem, w ogromnej żółtej peruce, która spadała mu na oczy...

Na dole potrącił kogoś.

— Jakób! zawołał cofając się.

Był to Jakób.. Popatrzali na siebie przez chwilę, nic nie mówiąc. Nakoniec, Jakób złożył ręce i głosem łagodnym, łzawym, rzekł: „Oh! Danielu!“ Tego było dosyć. Ten Mały, wzruszony do głębi serca, spojrzał do koła jak przestraszone dziecię i cicho, tak cicho, że brat zaledwie go dosłyszał, rzekł do niego: „Zabierz mię ztąd, Jakóbie!“

Jakób zadrżał i, wziąwszy go za rękę, pociągnął na dwór. Dorożka stała przy drzwiach; wsiedli do niej. Ulica des Dames, do Batignolles!“ — zawołał Jakób. — „To mój cyrkuł!“ — odpowiedział woźnica radośnie i powóz potoczył się...

...Jakób od dwóch dni już był w Paryżu. Przybył z Palermy, gdzie list Piorrotte'a, który gonił za nim od trzech miesięcy, doścignął go nareszcie. List ten krótki i treściwy zawiadamiał go o zniknięciu Daniela.

Czytając go, Jakób wszystko odgadł. Powiedział sobie: „Dziecko robi głupstwa... Muszę tam jechać.“ I natychmiast prosił markiza o urlop.

— Urlop — zawołał markiz podskakując. — Czy oszalałeś!... A moje pamiętniki?...

— Tylko na tydzień, panie markizie, pojadę tylko na tydzień i wrócę zaraz potem; chodzi o życie brata mego.

— A cóż mię obchodzi ten twój brat?... Czy nie uprzedziłem cię, kiedyś przyjmował u mnie mejsce? Czy zapomniałeś o naszej umowie?

— Nie, panie markizie, ale...

— Nie ma żadnego ale. Z tobą będzie tak jak z innymi. Jeżeli opuścisz miejsce na tydzień, to już nie wrócisz więcej do niego. Namyśl się zatem dobrze, proszę... I wiesz co, za nim się namyślisz, siadaj, będę dyktował.

— Już się namyśliłem, panie markizie. Odjeżdżam.

— Idź do djabła!

To mówiąc, niewyrozumiały starzec chwycił za kapelusz swój i udał się do francuskiego konsulatu dla rozpytania się o nowego sekretarza dla siebie.

Jakób wyjechał tegoż wieczora.

Przybywszy do Paryża, pobiegł na ulicę Bonaparte. „Czy brat mój na górze?“ — zapytał odźwiernego, który palił fajkę na dziedzińcu. Odźwierny zaczął śmiać się: „Oddawna nie ma go już tutaj“, — rzekł szyderczo.

Chciał niby zachować tajemnicę, ale kilka franków rozwiązało mu usta. Opowiedział Jakóbowi, że oddawna już mały z piątego piętra i dama z pierwszego znikli i ukrywali się niewiadomo gdzie, zapewne w jakim kącie Paryża, ale z pewnością byli razem, bo murzynka Biała-kukułka przychodziła tu co miesiąc, dowiadując się, czy jest co dla nich. Do tego dodał jeszcze, że pan Daniel odjeżdżając, zapomniał wypowiedzieć mieszkanie, i że należy mu się zapłata za cztery ostatnie miesiące, nie licząc innych drobnych długów.

— Dobrze — rzekł Jakób — wszystko będzie zapłacone.“ I nie tracąc ani chwili czasu, nie otrząsłszy się nawet z kurzu podróżnego, rozpoczął poszukiwania za dziecięciem swojem.

Najprzód udał się do drukarza, sądząc, że ponieważ główny skład *Komedji sielankowej* był u niego, więc i Daniel musiał tam często przychodzić.

„Miałem pisać do pana — rzek drukarz — ujrzawszy go wchodzącego; wiesz pan, że termin pierwszego wekslu przypada za dni trzy.“

Jakób odpowiedział spokojnie: „Myślałem o tem... Jutro obejdę księgarnie. Mają tam dla mnie pieniądze. Sprzedaż bardzo dobrze poszła.“

Drukarz otworzył ogromne oczy swe niebiesko-alzackie.

„Jakto?... Sprzedaż dobrze poszła! Kto to panu powiedział?

Jakób zbladł, przeczuwając katastrofę.

„Spojrz pan tu na stosy tych książek w kącie — mówił dalej Alzatczyk. Od pięciu miesięcy w handlu, a sprzedano jeden egzemplarz tylko. W końcu znudziło to księgarzy, i do mnie odesłali to, co było u nich na składzie. Teraz wszystko to nie ma już żadnej wartości i może się sprzedać tylko jako papier na wagę. Szkoda, dobrze było wydrukowane.“

Każdy wyraz tego człowieka spadał na głowę Jakóba jak uderzenie maczugi; dobiła go wreszcie ostatnia wiadomość, że Daniel w jego imieniu pożyczał pieniądze u drukarza.

— Nie dalej jak wczoraj — mówił nielitościwy Alzatczyk — przysłał do mnie szkaradną murzynkę, prosząc o dwa luidory; ale odmówiłem stanowczo. Popierwsze dla tego, że ten tajemniczy poslaniec nie budzi zaufania, powtóre, pojmujesz pan, panie Eyssette, sam nie jestem bogaty, a już więcej jak czterysta franków pożyczyłem bratu pańskiemu.

— Wiem o tem — dumnie odpowiedział Jakób — ale proszę być spokojnym, pieniądze te wkrótce zwrócone panu będą. Poczem szybko opuścił drukarnię, bojąc się okazać wzruszenia, które mu oddech tamowało. Znalazłszy się na ulicy, musiał usiąść na słupku, przy bramie. Odjęło mu nogi. Ucieczka dziecka, stracone miejsce, pieniądze drukarza do oddania, pokój, odźwierny, wypłata wekslu, wszystko to brzęczało, kręciło mu się w mózgu... Nagle powstał: „Naprzód długi — rzekł do siebie — to najpilniejsze.“ I pomimo haniebnego postępku brata względem Pierrotte'ów, nie wahając się udał do nich.

Wchodząc do magazynu dawnego domu Lalouette, Jakób spostrzegł za kantorem wielką twarz pożółkłą i odętą, której nie poznał od razu, ale na odgłos otwierających się drzwi, wielka twarz podniosła się i, spostrzegłszy wchodzącego, wykrzyknęła: „Że tak powiem“, które nie pozostawiło żadnej wątpliwości... Biedny Pierrotte! Smutek córki zrobił zeń innego człowieka. Dawny Pierrotte, krotochwilny i rumiany, przestał istnieć. Od łez, które jego maleńka wylewała od pięciu miesięcy, oczy jego zarumieniły się i policzki wpadły. Na wybladłych ustach, zamiast dawnego śmiechu pełnego życia i wesela, pojawił się teraz uśmiech zimny, milczący, uśmiech wdów i opuszczonych kochanek. Nie był to już Pierrotte, była to Arjana, była to Nina.

Zresztą, w magazynie dawnego domu Lalouette, sam tylko właściciel jego zmienił się. Malowane pasterki, Chińczycy o fiołkowych brzuchach, usmiechali się jak dawniej na wysokich półkach, między szkłami czeskiemi a talerzami w wielkie kwiaty. Zaokrąglone wazy i filiżanki kolorowej porcelany zawsze połyskiwały na dawnem swem miejscu, a w izbie po za sklepem, ten sam flet zawsze z cicha przygrywał.

— To ja, Pierrotte — rzekł Jakób, starając się nadać głosowi swemu zwykłą pewność, przychodzę do ciebie z prośbą o wielką przysługę. Pożycz mi tysiąc pięćset franków.

Pierrotte, nic nie mówąc, otworzył kasę, poruszył kilka sztuk złota; wreszcie zamykając szufladę, powstał spokojnie.

„Nie mam ich tutaj, panie Jakóbie. Proszę zaczekać tu na mnie, pójdę po nie na górę.“ A wychodząc, dodał z wymuszoną miną. „Nie żądam, byś pan szedł ze mną; za wielką przykrość zrobiłoby jej to.“

Jakób westchnął: „Masz słuszność, Pierrotte; lepiej będzie, kiedy nie pójdę na górę.“

W pięć minut potem Sewenolczyk wrócił z dwoma biletami po tysiąc franków, które wsunął mu w rękę. Jakób nie chciał ich wziąć: „Potrzebuję tylko tysiąc pięćset franków,“—powtarzał. Ale Sewenolczyk nalegał:

„Proszę pana, panie Jakóbie, zatrzymaj wszystko. Chodzi mi o tę sumę dwóch tysięcy franków. Tyle właśnie panienka pożyczyła mi niegdyś dla kupienia zastępcy. Jeżelibyś odmówił mi... — że tak powiem — obraziłbyś mię śmiertelnie.

Jakób nie śmiał odmówić, schował pieniądze i, podając rękę Pierrotte'owi, rzekł tylko: „Do widzenia, Pierrotte, i dziękuję.“ Pierrotte zatrzymał rękę jego.

Tak stali czas jakiś naprzeciw siebie, milczący i wzruszeni. U obydwóch imię Daniela było na ustach, ale nie śmieli wymówić go przez to samo uczucie delikatności... Ten ojciec i ta matka rozumieli się tak dobrze! Jakób pierwszy uwolnił rękę swą z dłoni Pierrotte'a. Łzy cisnęły mu się do oczu; spieszno mu było wyjść. Sewenolczyk odprowadził go aż do pasażu. Tam biedak nie mógł dłużej powstrzymać goryczy, która zalewała serce jego, i zaczął z wyrazem wyrzutu: „Ah! panie Jakóbie... panie Jakóbie... że tak powiem!...“ Ale nadto był wzruszony, by dokończyć tłumaczenia swego, i dwa razy z rzędu powtórzył tylko: „Że tak powiem... że tak powiem...“

Oh! tak, w istocie, że tak powiem!...

Pożegnawszy Pierrotte'a, Jakób wrócił do drukarza. Pomimo oporu Alzatczyka, zwrócił mu natychmiast czterysta franków, które Daniel pożyczył był u niego. Oprócz tego chcąc od razu pozbyć się kłopotu, pozostawił u niego pieniądze na spłatę weksli, których termin zbliżał się; poczem, z lżejszem już sercem rzekł do siebie: „Szukajmy dziecka.“ Na nieszczęście, pora nadto spóźniona była, by mógł się zabrać tegoż dnia jeszcze do podobnych poszukiwań; zresztą, zmęczenie po podróży, wzruszenie, suchy i ciągły kaszel, który dręczył go od dawna, wszystko to wyczerpało siły Jakóba tak, że musiał wrócić na ulicę Bonaparte, by odpocząć trochę.

Ah! kiedy wszedł do małego pokoju i przy ostatnich blaskach starego słońca październikowego ujrzał wszystkie te przedmioty, które przypominały mu jego dziecię, warstat do rymów przy oknie, jego szklankę, kałamarz, fajki o krótkim cybuszku, jak te z których palił ksiądz Germane; kiedy usłyszał poczciwe dzwony Saint-Germain, ochrypłe trochę od mgły, kiedy wieczorny *Anioł pański*, ten melancholijny *Anioł pański*, którego Daniel tak lubił, musnął skrzydłami o wilgotne szyby; jaką boleść uczuła wówczas matka Jakób, to tylko matka sama wypowiedzieć potrafiłaby...

Dwa lub trzy razy obszedł pokój do koła, zaglądając wszędzie, otwierając wszystkie szafy, w tej nadziei, że znajdzie cośkolwiek, co go naprowadzi na ślad zbiega. Ale niestety! szafy były próżne. Pozostawiono w nich tylko starą bieliznę, same gałgany. W całym pokoju czuć było nieszczęście i opuszczenie. Ślady ucieczki raczej, aniżeli wyjazdu. W jednym kącie, na ziemi, stał lichtarz, a w kominku, pod stosem spalonego papieru leżało pudełko w złocone prążki. Jakób poznał to pudełko. Chowano w niem dawniej listy czarnych oczu. Teraz leżało w popiele. Jakie świętokradztwo!

Poszukując dalej, znalazł w szufladce warstatu kilka arkusików papieru, pokrytych pismem nierównem, gorączkowem, pismem Daniela, kiedy ten wpadał w natchnienie. „Poemat zapewne — rzekł Jakób do siebie, zbliżając się do okna dla odczytania go.“ — W istocie, był to poemat, poemat ponury, zaczynający się tak:

„Jakóbie skłamałem przed tobą. Od dwóch miesięcy kłamię tylko“... Był to długi list, który czytelnik pamięta zapewne, i w którym ten Mały opowiadał wszystko, co wycierpiał od Irmy Borel. List ten nie odszedł, ale jak widzimy, innym sposobem doszedł przeznaczenia swego. Tym razem Opatrzność spełniła obowiązek poczty.

Jakób odczytał go od początku do końca. Kiedy doszedł do ustępu, w którym Daniel opowiadał o umowie z teatrem w Montparnasse, umowie, do której skłaniano go tak natarczywie, a którą odrzucał z taką stałością, Jakób podskoczył z radości:

— Wiem gdzie jest — zawołał, i schowawszy list do kieszeni, położył się spokojnie; ale nie mógł zasnąć, chociaż okropnie był znużony. Zawsze ten przeklęty kaszel... Z pierwszym brzaskiem dnia prawdziwej jesieni, dnia zimnego, Jakób zerwał się lekko. Miał już plan gotowy.

Pozbierał rzeczy, leżące po szafach, złożył je do swego tłomoka, nie zapominając przytem o pudełku w złocone prążki, pożegnał starą wieżę Saint-Germain i wyszedł, pozostawiwszy wszystko otworem; drzwi, okno, szafy, ażeby w pokoju tym, który miał zająć ktoś inny, nie pozostało nic z dawnego ich pięknego życia. Na dole wypowiedział mieszkanie, zapłacił zaległy czynsz wreszcie, nie odpowiadając na ciekawe pytania odźwiernego, zawołał na przejeżdżający powóz i kazał się zawieść do hotelu Pilois, na ulicy des Dames, w Batignolles.

Hotel ten trzymał brat starego Pilois, kucharza markiza. Przyjmowano do niego nie inaczej jak na kwartał i tylko osoby bardzo pewne, to też dom ten używał w cyrkule bardzo dobrej opinji. Mieszkać w hotelu Pilois było to mieć świadectwo dobrego życia i obyczajów. Jakób, który zjednał był dla siebie przychylność Valeta domu Hacqueville, przywiózł od niego dla brata kosz wina Marsala.

Rekomendacja ta była dostateczną i kiedy biedny chłopiec z nieśmiałością objawił chęć należenia do liczby mieszkańców hotelu, dano mu bez wahania ładny pokój na dole, z dwoma oknami, wychodzącemi na ogród hotelu, chciałem powiedzieć klasztoru. Ogród ten nie był wielki: trzy lub cztery akacje, trochę nędznej zieloności, zieloności Batignolles, jedna figa bez fig, chory krzew wina i kilka stóp Chryzantheum, oto całe bogactwo jego; ale i to już rozweselało pokój, trochę wilgotny i smutny z natury swej...

Jakób, nie troszcząc się ani minuty, rozlokował się w nim; wbił gwoździe, schował bieliznę, ustawił fajki Daniela, zawiesił nad łóżkiem portret pani Eyssette, jednem słowem, zrobił co mógł, by odjąć pokojowi jego cechę hotelową, tak nieznośną zwykle; potem, kiedy się już urządził, zjadł na prędce śniadanie i zaraz potem wyszedł. Przechodząc, zawiadomił pana Pilois, że tego wieczora, wyjątkowo, wróci może trochę późno i prosił, by w jego pokoju przygotowano śliczną kolacyjkę w dwie osoby i wino stare do niej. Zamiast ucieszyć się tym nadzwyczajnym

*

dodatkiem, poczciwy pan Pilois zaczerwienił się po uszy, jak młody wikarjusz.

— Kiedy bo — rzekł z miną zaambarasowaną — nie wiem... Regulamin, porządek domu nie pozwala... mamy duchownych, którzy...

Jakób uśmiechnął się: „A, bardzo dobrze, rozumiem... Dwa nakrycia, o których powiedziałem, straszą pana... Uspokój się, kochany panie Pilois, nie będzie to kobieta.“ Ale idąc do Montparnasse mówił do siebie: „Jednakże tak jest, kobieta to, kobieta bez odwagi, dziecko bez rozumu, którego nigdy nie można pozostawić sobie samemu.“

Powiedzcie mi, dlaczego Jakób tak był pewny, że znajdzie mię w Montparnasse. Od czasu, kiedym napisał ów straszny list, który pozostał był w mieszkaniu, mogłem przecie opuścić teatr; mogłem nawet wcale nie wstąpić do niego... Otóż nie! Instynkt macierzyński kierował nim. Był przekonany, że znajdzie mię tam i tegóż wieczora sprowadzi do siebie; ale tak sobie rozumował: „Jeżeli mam go uprowadzić, to trzeba żebym go zastał samego, żeby ta kobieta niczego się nie domyśliła.“ I dlatego nie poszedł wprost do teatru, rozpytując się o mnie. Kulisy niezdolne są do tajemnic; jedno słowo mogło obudzić czujność. Wolał spuścić się po prostu na afisze i postanowił sobie nikogo więcej nie radzić się.

Ogłoszenia przedstawień na przedmieściach umieszczają się zwykle przy drzwiach winiarni, po za kratą, mniej więcej tak, jak ogłoszenia małżeństw po wsiach Alzacji. Jakób przeczytawszy afisz uśmiechnął się radośnie.

W teatrze Montparnasse dawano tego wieczora *Marie-Jeanne*, dramat w pięciu aktach, grany przez panie Irmę Borel, Dezyderją Levrault, Guique itd.

Przed dramatem miano odegrać:

Miłość i śliwki suszone, wodewil w jednym akcie, przez pp. Daniela, Antonina i pannę Leontynę.

— Wszystko dobrze idzie — rzekł do siebie. — Nie grają w jednej sztuce; jestem pewny że mi się uda.

I wszedł do jednej z kawiarni Luksemburgu; siedział tam, aż nadeszła godzina porwania.

Kiedy wieczór nastąpił udał się do teatru. Przedstawienie nie było jeszcze rozpoczęte. Godzinę prawie przechadzał się pod galerją przed drzwiami, wraz z miejską strażą

Od czasu do czasu, oklaski z wewnątrz dochodziły go jak szmer dalekiego gradu; wówczas serce mu się ściskało na myśl, że może to grymasom dziecięcia jego tak przyklaskiwano... Koło godziny dziewiątej tłum ludzi wysypał się na ulicę. Wodewil skończył się; byli tacy, co wyszedłszy z sali, śmiali się jeszcze. Gwizdano, nawoływano się: Ohé!... Pilouitt!... Lala-iton! i mnóstwo innych wykrzykników menażerji paryskiej... Ba! to nie tak, jak przy wyjściu z opery włoskiej w Paryżu!

Zamięszany w tłumie, przeczekał jeszcze chwilę jakąś; potem, pod koniec antraktu, kiedy wszyscy wracali napowrót, on wśliznął się do bramy czarnej i brudnej, obok teatru, było to wyjście artystów, oświadczył, że potrzebuje pomówić z panią Irmą Borel.

— Niepodobna — odpowiedziano mu. — Teraz właśnie jest na scenie...

Jakób, ta druga matka Daniela, chytrym był jak dziki człowiek! Z najspokojniejszą miną odpowiedział na to: „Jeżeli nie mogę widzieć się z panią Irmą Borel, to proszę wezwać pana Daniela; przez niego załatwię mój interes do niej.“

W chwilę potem Jakób odnalazł dziecię swoje i szybko uprowadził je na drugi koniec Paryża. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Genewa 1 grudnia.

(Kongres marsylski. Gdzie się podziała nasza demokracja? Profesjonalne i integralne nauczanie. Sprawozdanie Goutte's'a. Wymowność cyfr. Zawsze za panią matką pacierz. Kościół chrześcijański — Renana.)

Mając na względzie z jednej strony, że *Tydzień Polski* zawsze chętnie się zajmował sprawą oświaty ludowej, z drugiej zaś strony, że na dwóch ostatnich wiecach we Lwowie, samoistnych szewców i samoistnych przemysłowców, niestety bardziej objawiło się dążenie do przywrócenia dawnej korporacyjnej władzy nad czeladnikami, aniżeli chęć dania im większej możności nabycia ogólnej oświaty i dobrego nauczenia się swego rzemiosła, chcę cokolwiek obszerniej pomówić o integralnem i profesjonalnem wykształceniu, którem żywo się zajmowali robotnicy francuscy na ostatnim kongresie w Marsylji.

Kilka słów o samym kongresie. Rozpoczął się on 2 października i trwał dziesięć dni. Delegatów z rozmaitych miast Francji było około 110. Kwestje, postawione do omówienia, były bardzo zajmujące i bardzo liczne—powiedziałbym nawet — zanadto liczne, z czego wynikła pewna chaotyczność w ogólnem wrażeniu, jakie pozostawił kongres. Sala, w której odbywały się obrady, a zwykle mieszcząca 1500 osób, nieustannie była zapełniona publicznością. Przysłuchiwano się rozprawom z wielką uwagą. I trzeba przyznać, że pomiędzy francuskiemi robotnikami nie tylko są znakomici mówcy, odznaczający się wielką swobodą i siłą słowa, ale także i ludzie ścisłej i głębokiej myśli. Gdybyśmy to mieli dzisiaj takich robotników! Śmiało i spokojnie patrzylibyśmy wówczas w przyszłość naszą i, poparci tą niespożytą siłą, bylibyśmy zawsze zupełnymi panami własnego losu.

Z przykrością przeto wielką widzę, że pisma nasze dosyć nawet postępowe czerpały wiadomości swoje o kongresie z dzienników burżuazyjnych, z obawą i niechęcią patrzących na wzrost potęgi ludu. Czyżby reakcyjność myśli tak dobrze nas porywała, żebyśmy mieli już zupełnie zerwać z dawnym naszym demokratycznym programatem: „wszystko dla ludu, przez lud“?! Czyż naprawdę myślimy, że można istotnie coś dobrego zrobić dla ludu, jeżeli ten lud sam nie zacznie myśleć o sobie? Czyż mamy pójść śladem naszych opiekunów, którzy na wszelkie nasze żądania, gdziekolwiekbądź objawiające się, zawsze jednostajnie odpowiadają: „to są zachceaia jakiejś tam garstki, ale ogół rzeczywisty wręcz odmienne ma życzenia“ Mamyż naszę narodową przyszłość wiązać w Europie z tem, co się już przeżyło, co rozprzęga i rozpada, czyli też z tem, co w łonie swojem niesie nową historyczną ideję, co z dnia na dzień rośnie, potężnieje i coraz bardziej stanowczy głos podnosi? I gdzież się podziała nasza demokracja z pierwszej połowy tego stulecia, która tak jasno i trzeźwo patrzała była na stosunki społeczne? Zaiste, demokracja nasza stała się utworem napowietrznym, bo „demokracja bez ludu jest zjawiskiem niedołężnem w obec swoich przeciwników, którzy z przyrody swojego położenia społecznego, władają wszystkiemi siłami i zasobami narodu, a których przewagę potęga ludu jedynie może zrównoważyć i zniszczyć“. (Kilka rad ku oswobodzeniu Polski z 1843 r).

Ze zdziwieniem wielkiem wyczytałem w jednem z naszych pism, że kongresiści powzięli rezolucją, która żąda zniesienia uniwersyteckiej nauki, i uznali medycynę za naukę niepotrzebną. Nie wierząc sam sobie, przewertowałem dokładnie urzędowe sprawozdanie kongresu marsylskiego i nic podobnego nie znalazłem, ale *zgoła nic*. Czemże więc jest taka fantazja, tworząca nieistniejące fakty?

Wszystkie rewolucje uchwalono na ostatniem posiedzeniu 31 października. Jest ich dziewięć, a jedna tylko z nich, czwarta z kolei, dotyczy sprawy nauczania. Rezolucja ta obejmuje siedm punktów, które przytaczam dosłownie:

1) Nauczanie cywilne (bezwyznaniowe), bezpłatne i obowiązkowe. Nauka w średnich i wyższych zakładach przystępna dla dzieci ludu t. j. bezpłatna po wykazanem uzdolnieniu do niej. (Gdzież więc tu mowa o zniesieniu uniwersyteckiej nauki?).

2) Zupełna bezpłatność potrzeb szkolnych, t. j. wszystko, czego potrzebują dzieci w czasie chodzenia do szkół, powinno opłacać całe społeczeństwo.

3) Zupełne usunięcie religji ze szkół dla tego, ażeby każdy ojciec mógł dać dzieciom wychowanie religijne, zgodne ze swojemi przekonaniami.

4) Szkoły terminatorskie we wszystkich miastach, mających 3000 i przeszło mieszkańców.

5) Prawny nadzór Izb syndykackich (są to stowarzyszenia robotników jednego zawodu) nad kontraktami terminatorskiemi.

6) Szkoły profesjonalne wydają świadectwa terminatorskie, a izby syndykackie poręczają za uzdolnienie profesjonalne.

7) W miastach ma być zaprowadzone nauczanie profesjonalne, na wsi rolnicze, ażeby dzieci mogły korzystać z pierwszego lub drugiego, stosownie do swoich skłonności i uzdolnień.

W Marsylji zastanawiano się także, jak i we Lwowie, nad przyczynami zmniejszania się liczby dobrych robotników. Zwłaszcza sprawozdanie Goutles'a odznaczało się gruntownością i znakomitem ułożeniem. Wykazał on, że dawna instytucja terminatorstwa, w obec zmienionych ekonomiczych i społecznych warunków, zupełnie nie wystarcza. Dawny jej familijny charakter zniknął niepowrotnie i stosunek między majstrem i uczniem normuje się tylko wzajemnemi korzyściami. Z tych to powodów rzeczą jest konieczną, ażeby instytucja terminatorstwa z prywatnej zamieniła się w publiczną. Trzeba pozakładać szkoły terminatorskie. To się przyczyni do podniesienia nauki rzemiosł i poczucia godnośc w klasie rzemieślniczej.

Ale robotnicy francuscy nie zadowalniają się zaprowadzeniem szkół terminatorskich. Domagają się oni podniesienia poziomu nauczania w szkołach ludowych. Jesteśmy obywatele — mówią — chcemy więc korzystać z praw obywatelskich, chcemy być samodzielnymi i samowiednymi pracownikami w sprawach publicznych,

nie zaś ślepem narzędziem wykształceńszych i bogatszych jednostek, jak to dotąd bywało. Dzisiejsze ludowe szkoły nie wystarczają. Trzeba je zamienić na szkoły profesjonalne, w którychby wykształcenie umysłowe połączono z nauką pracy zawodowej. Trzeba wprowadzić do szkół miejskich — warsztat, a do szkół wiejskich — uprawę roli. Takie przeobrażenie szkoły ludowej przyniesie nieobliczone korzyści społeczeństwu i przyczyni się do podniesienia nauki rzemiosł, do upowszechnienia wiadomości rolniczych, do wszechstronniejszego przysposobienia uczniów do życia praktycznego, a samej szkole nada znaczenie widomego pożytku w oczach całej wiejskiej i miejskiej ludności. Rozumieją to dobrze wszyscy, co nie są zaślepieni względami stronniczemi; a przed kilku dniami Henryk Brisson, wiceprezydent izby poselskiej, w mowie swojej programowej, uznał jako jedną z pierwszych potrzeb francuskiego narodu zaprowadzenie powszechne nauczania profesjonalnego.

Ale i sama nauka umysłowa w dzisiejszych szkołach ludowych nie zadawalnia robotnika francuskiego. Nie tylko powinna ona — według jego przekonania — nauczyć czytać, pisać, rachować, ale powinna także dać pewny całokształt wiedzy ludzkiej. Jest to zadanie wprawdzie bardzo trudne, ale nie niepodobne do ziszczenia. A któżby nie rozumiał, jak ważne i ogromne muszą być tego następstwa dla ogólnego ludzkiego rozwoju?! Ktoby chciał podjąć się chociaż trudnego, lecz wdzięcznego zadania, ułożenia kursu ludowego, któryby obejmował całokształt wiedzy dzisiejszej, powinien stanąć na gruncie filozfii pozytywnej i pójść za siecią przewodnią Augusta Comte'a. Robotnicy francuscy, którzy tylko w bardzo małym odsetku sympatyzują z Comte'owską socjalistyczną szkołą, w ogóle — rzec można — zwolennikami są jego poglądn na całość wiedzy ludzkiej. Zanim jednak w szkołach ludowych zostanie zmieniony i rozszerzony cały plan umysłowego kształcenia, robotnicy domagają się już dzisiaj wprowadzenia do szkół jako przedmiotu obowiązkowego nauki pierwszych początków prawodastwa i ekonomii politycznej. W państwie, gdzie panuje powszechne głosowanie — mówią — wyborca powinien znać główne zasady umiejętności politycznej.

Otóż, nauczanie, które łączy kształcenie umysłu z rozwijaniem sił fizycznych, które daje na przyrodę i świat ludzki prawdziwy i całkowity pogląd, które usposabia rękę do jakiejkolwiekbądź fizycznej pracy, które kształci ucznia na światłego człowieka i dobrego pracownika, takie nauczanie nazywamy integralnem. Niewątpliwie, wszyscy światli pedagogowie przyznają wyższość takiemu nauczaniu nad tem, które dzisiaj powszechnie panuje.

Có było powodem do zdania, jakoby kongresiści usuwali uniwersytety z programu edukacyjnego i chcieli zastąpić je edukacją profesjonalną? Chyba jeden wstęp ze sprawozdania Gouttes'a, który tu jako zawierający ciekawe fakty dosłownie przytoczę.

Gouttes, przedstawiwszy, że wskutek zmienionych społecznych] warunków, terminowanie rozpoczyna się obecnie we Francji w późniejszym wieku, aniżeli dawniej, powiada:

„1) Terminowanie robotnika jest uciążliwszem dla patrona, aniżeli było dawniej, a znowu robotnikowi żadnej korzyści nie przynosi.

2) Robotnicy dzisiejsi nie mogą dorównać tym, którzy terminowali od lat najmłodszych.

3) Przyczynia się to do niższości dzisiejszych przemysłowych wyrobów względnie do dawnych. Pokazuje się więc, że brak nauczania profesjonalnego zarówno jest przeciwny ogólnemu interesowi społeczeństwa, jak i szczególnemu interesowi klasy robotniczej.

Cała odpowiedzialność za to spada na społeczeństwo, a głównie na rząd, który nie tylko może, ale i powinien zrobić to dla klasy robotniczej, co robi dla profesyj umysłowych. Dla tych ostatnich utrzymuje z wielkim kosztem 49 fakultetów, które mają od 40 do 50 wyższych zakładów i około 300 szkół średnich. Z tego korzysta 1,800.000 obywateli. Tymczasem dla rolnictwa i 20 miljonowej ludności, zajmującej się niem, jest 70 szkół rolniczych, dla 1,500.000 mieszkańców, trudniących się handlem, tylko jedna wyższa szkoła handlowa; wreszcie dla 11 miljonów przemysłowców — około 20 szkół.

Wyłączając szkoły ludowe i licząc tylko te, które mogą być uważane za profesjonalne, przekonywamy się, że profesje liberalne, które są najwięcej korzystne, mają jedną szkołę na 6.200 obywateli, rolnictwo jedną szkołę ua 300.000, przemysł — na 500.000".

Cyfry są wymowne! Wyjaśniają nam one także, dla czego postępy nauk przyrodniczych tak małe względnie mają zastosowanie. Zajmowano się bowiem bardzo mało ich popularyzowaniem, upowszechnianiem.

W tem samem zdaniu, które powyższe słowa, wołające o sprawiedliwość, wytłumaczyło jako chęć zniesienia uniwersytetów, znajduję jeszcze inne zdania, wydeptywane uparcie od wielu lat w ogólnikach gołosłownych, których wartość zbadał i ocenił znakomicie John Stuart Mill w swojej Politycznej Ekonomii. Odsyłam do francuskiego tłumaczenia Courcel de Senneuil'a, ponieważ petersburska cenzura w polskiem tłumaczeniu znakomity ów krytyczny ustęp wyrzuciła.

Marsylski kongres przypomina pod pewnym względem chrześcijaństwo w drugim wieku, przynajmniej tak, jak je opisał Ernest Renan w swojem dziele: *L'eglise chrétienne* (Paris 1879). Mnóstwo systematów, mnóstwo szkół, chaotyczność pewna. Szkoły czyli sekty wzajemnie się wyklinają i potępiają. Dla odległych celów zapominają się bliższe, szczegółowe kwestje zasłaniają ogólne. A pomimo to, prąd coraz silniejszy, coraz powszechniejszy niesie wszystkich i wszystko w jednym kierunku i ku jednemu wspólnemu celowi.

L'eglise chrétienne jest ciągiem dalszym historji chrześciaństwa, którego dzieje poprzednie opowiadały: *Evangiles.* Chrześcijaństwo z perjodu propagandy czyli apostolstwa przechodzi w perjod organizacji czyli tworzenia się kościoła. Renan przygotowuje jeszcze jeden tom, który ma zakończyć jego badania o początkach chrześcijaństwa. Będzie w nim opowiadał dzieje chrześcijaństwa za panowania Marka Aureljusza, zwracając główną uwagę na wzmagający się katolicyzm.

B. L.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(*Siemiradzki i rocznica Mickiewicza w Rzymie. Obecny stan królestwa kongresowego. Klub literacko-artystyczny. Zamachy rossyjskie i Juliusz Verne. Nowiny literackie.*)

Siemiradzki zdobywa sobie swem wielkiem a szlachetnem sercem miejsce prawdziwego ulubieńca narodu.

Nie ma jednej ważniejszej chwili, żeby nie zamanifestował swego przywiązania do kraju, swej miłości ku niemu i swej ofiarności.

W rocznicę śmierci Mickiewicza złożyli Włosi i Polacy wieniec na jego popiersiu, umieszczonem na Kapitolu.

Wieniec ten dał Siemiradzki.

Były tam mowy gorące naszych przyjaciół włoskich, francuskich i szwajcarskich. Płynęły one z gorącego a uczciwego serca i przyjęte u nas zostały również gorąco. Wkładając wieniec na marmurowe skronie Mickiewicza przemówił Siemiradzki w tych słowach:

„Zrozumieją niewątpliwie i ci z was, panowie, którzy nie liczą się jak ja, do współrodaków Mickiewicza, ten smutek przygniatający serca polskie w rocznicę śmierci wielkiego męża, którego wspomnienie dziś nas tu wszystkich łączy. Bądź co bądź, w żałobie naszej jedną wielką mamy pociechę: jeśli mąż wielki żyć przestał, żyje życiodawcze dzieło jego żywota, geniusz jego unosi się nad ukochaną ojczyzną jak opiekuńcze bóstwo i ściśnia węzły braterstwa między nami i resztą cywilizowanego świata. Słońce geniuszu jego Polsce świecić nie przestaje i ogrzewa ją wiarą w lepszą przyszłość.

„Uczucie, w ścisłym będące związku z tem, com powiedział, uczucie pod którego w tej chwili zostaję wpływem, jest to wdzięczność dla Włoch, które oddały cześć olbrzymowi pośród poetów naszych, stawiając posąg jego w Kapitolu i zakładając Akademję Mickiewicza w Bolonji. Mniemam, że wiernym tylko będę tłómaczem myśli rodaków moich, jeśli wyrażę w uroczystej tej chwili naszą wdzięczność serdeczną dla Włoch. Niedawno temu uczestniczyłem w narodowej uroczystości w Krakowie, w obchodzie pięćdziesięciolecia literackiej działalności Kraszewskiego: słyszę jeszcze entuzjastyczne okrzyki *Niech żyją Włochy!* które z tysięcy ust się wyrywały za pojawieniem się włoskiego wysłańca bolońskiej mickiewiczowskiej akademji. Toast przezemnie na jego cześć wzniesiony, też same wywołał okrzyki. Szczęśliwym się czuję, mając sposobność stwierdzenia przed wami panowie, jako naoczny świadek, tego prądu sympatycznych zapałów dla szlachetnego narodu włoskiego.

„Zanim skończę, pozwólcie mi jeszcze panowie złożyć podziękę tym z pomiędzy nas, którzy nie będąc Polakami, niemniej jednak chętnie połączyli się dziś z nami, aby oddać cześć pamięci męża, którego religją była miłość uciśnionych, męża, który w bogatej spuściźnie swojej przekazał nam między innemi skarbami i miłość dla narodu włoskiego. Niechże więc święci się pamięć jego a wzniosłe jego marzenia niech się staną tem, czem stały się marzenia Danta: rzeczywistością!"

* * *

Czasopismo warszawskie Ateneum, podaje w ostatnim swym tegorocznym zeszycie, ogólny pogląd na ruch umysłowy i ekonomiczny w kongresowem Królestwie. Znajdujemy tam wiele trafnych spostrzeżeń, wiele zestawień, z których praktyczne wnioski wyprowadzić można. Kontrast z naszemi stosunkami w wielu bardzo wypadkach widoczny a spowodowany naturalnie odmiennymi wyrunkami politycznymi.

Pism polskich wychodzi tam około 60 [illegible]

a ilość prenumeratorów około 120000. Książek i broszur w r. 1878 wyszło 276, gdy tymczasem w Galicji 134 a w Poznańskiem 28. Jednak ta liczba nie przedstawia summy pracy oryginalnej, bo połowa z nich jest tłómaczoną.

Handel rozwija się znacznie i od lat dwudziestu zrobił wielkie postępy. Jeśli weźmiemy za miarę dochód z wiorsty głównej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, to gdy on w roku 1858 wynosił 3.348 rs., to już w 1868 podniósł się do 8,515 rs. a w 1878 do 19.680 rs.

Element żydowski coraz bardziej staje się prawdziwie obywatelskim. Majętni, wykształceni i starannie wychowani wyznawcy religji mojżeszowej, są to już, w całem znaczeniu, mieszczanie tego kraju; językiem, ubiorem, sferą myśli i uczuć są już oni zbratani z resztą ogółu. Na liście ofiar dla wszelkich ubogich i kościołów, między twórcami instytucji użytecznych, na tablicach w Muzeum Kopernika, na Jubileuszu Kraszewskiego, na balach, widowiskach, zebraniach, słowem wszędzie spotykamy się z ich nazwiskami i hojnością. Ściśle rzeczy biorąc, oni przodują dzisiejszej epoce, nie zapominając o swoich interesach i nie gardząc reklamą.

Dziennikarstwo w znacznej części znajduje się w ich rękach.

Nie przesadzamy więc, powiada Ateneum, twierdząc, że jedna z najdokuczliwszych spraw naszych: kwestja żydowska, z przyspieszoną szybkością zbliża się do ostatecznego rozwiązania w duchu sprawiedliwości wszechstronnego pożytku.

Z ogólnej liczby żydów, 28,400 zajmuje się rolnictwem. Stanowi to około 3 i pół. proc. ogółu mieszkających w Królestwie.

Stan oświaty elementarnej jest opłakany. Nic dziwnego, bo rząd kładzie tamę przez swych urzędników wszelkiemu szerzeniu oświaty.

Z ogólnej liczby 500.000 dzieci, któreby do szkół chodzić powinny, tylko pięćdziesiąta część tego wychodzi jako tako poduczona.

Lecz nietylko niższe szkoły są gniecione. Średnie i wyższe nie cieszą się lepszą opieką. W całej Kongresówce tylko 221 uczniów stawało do egzaminu dojrzałości, a na jedyny uniwersytet w Warszawie zapisało się 190, licząc w to i nasłanych przez rząd stypendjatów z Rossji. Uniwersytet dawniej za czasów polskich wykładów tak świetnie stojący, ma dziś zaledwie 561 słuchaczy.

Do nadzoru nad szkołami nasyłają coraz wścieklejszych i bardziej barbarzyńskich kuratorów. Obecnie grasuje tam niejaki Apuchtin, dobijający się o sławę pierszorzędnego russyfikatora. Wydał teraz rozporządzenie żeby uczniowie nie rozmawiali z sobą inaczej jak po rossyjsku. Tem lepiej. Wiemy z doświadczenia, że tą drogą budzi się jeszcze większe przywiązanie do rodzinnej mowy.

W ogóle znać tam walkę ostrą i trudną przeciw powodzi rossyjskiej, ale rezultat jej jest dla nas pewny i bez obawy w przyszłość patrzeć możemy.

* * *

Sprawa klubu artystyczno-literackiego niejednokrotnie była u nas poruszaną, lecz zawsze bez praktycznego rezultatu. Wszyscy czują i czuli potrzebę instytucji tego rodzaju, łączącej w jedno ognisko rozproszonych w naszem mieście pracowników na polu umysłowem, lecz gdy przychodziło do wprowadzenia myśli w życie, zwykle najróżnorodniejszego rodzaju przeszkody stawały na przeszkodzie urzeczywistnieniu tego projektu.

Jedną z ważnych przeszkód była trudność w odszukaniu odpowiedniego pomieszkania. Otóż teraz nadarza się sposobność zapewnienia sobie najwygodniejszego lokalu, jaki tylko sobie życzyć można. Sejm przeniesie się na rok przyszły z teatralnego gmachu do swego nowego pałacu, a więc opróżnią się kancelarje sejmowe i główna sala posiedzeń. Ci, którym sprawa takiego klubu najbardziej na sercu leży, powinniby teraz już poczynić przedwstępne kroki. Nie wątpimy, że zarząd fundacji Skarbkowskiej, zrobi, ze względu na pożyteczność takiej instytucji, wszelkie możliwe ulgi ze swojej strony, należałoby tylko jak najwcześniej zająć się tym projektem i opracować na serjo. Słyszeliśmy, że artyści dramatyczni mają się zająć inicjatywą. Byłoby to najodpowiedniejszem ze względu na to, że tworzą oni już teraz korporację i łatwiej im przedsięwziąć zbiorowo jakąś pracę.

* * *

Zamachy rosyjskie przybierać zaczynają postać iście romantyczną. Wydaje się jakby ich kierownikiem był Juliusz Verne, tyle tam niespodzianek, dziwnych wydarzeń, tyle zastosowań najnowszych zdobyczy naukowych. Nitrogliceryna, dynamit, baterje elektryczne grają wielką rolę jakby w „Tajemniczej wyspie“ francuskiego fantasty. A przytem plączą się w podziemnych tych dramatach piękne jak anioły kobiety, w rodzaju owej narzeczonej Mirskiego, karety przywożą do podziemi przebrane za wieśniaczki damy wyższego świata, romans miesza się z intrygą polityczną, zbrodnia z miłością, słowem, dla powieściopisarza w rodzaju Verna temat niewyczerpany...

Tajemnicze figury przesuwają się jedna po drugiej, jak w chińskich cieniach. Ów Saszka „najznakomitszy inżynier rosyjski“ jak go dowcipnie feljetonista Nowego Wremieni nazywa, jest nie do odszukania i pozostanie jako postać legendarna. Śledzą go na wszystkie strony i już, już mają złowić, aż tu naraz znika jak kamfora. Pod owym sławnym podkopie do kaznaczejstwa chersońskiego i po wygodnem zjedzeniu tam kolacji oraz uraczeniu się winem, uciekł i dotychczas podróżuje po guberniach południowych. Zjawia się od czasu do czasu w rozmaitych punktach, pod najdziwaczniejszemi przebraniami, ale gdy przychodzi do aresztowania, ulatnia się jakby posiadał czapkę z bajki, czyniącą człowieka niewidocznym za włożeniem.

Podróżuje w ten sposób wzdłuż wybrzeży morza Czarnego przez kilka miesięcy..

Piękne tam się dzieją rzeczy...

* * *

Na polu literackiem nie zbyt wiele nowin mamy do zanotowania.

Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy pierwszą część, która dotąd wyszła, pracy prof. Ćwiklińskiego o Homerze, Mykenach i Schliemannie. Tak rzadko się u nas spotkać można z rzeczą gruntownie i pięknie napisaną o nowych poszukiwaniach w krainie klasycznej Grecji, gdzie cała nowoczesna cywilizacja czerpała swe natchnienie i zkąd wyszło źródło odrodzenia, że rzecz ta jest prawdziwie cennym zabytkiem. Mimo zarzutów, iż zbyt realistyczne kierunki zaprzątają nasze umysły, utrzymała się u nas cześć dla tych potęg, które doprowadziły ludzkość do najwyższych szczytów piękna i prawdy i czujemy głęboką pokorę w obec olbrzymów umysłu ludzkiego, którzy z tej ziemi homerowskiej wyszli.

Rzecz profesora Ćwiklińskiego zasługuje na szczególniejszą uwagę. Jest ona sprawozdaniem z wycieczki do Grecji, którą autor odbył rok temu, w celach naukowych i w chwili obecnej, gdy tyle bajecznych rzeczy rozchodzi się po świecie o odkryciach niby tam zrobionych, jest ona bardzo na czasie.

A propos Grecji. *Golos* został właściwie zawieszony z powodu nauki o tym kraju i jego języka. Niejaki *Menagios* Grek, zrobił do petersburgskiego Uniwersytetu podanie o profesurę, opierając się na rozprawie, przy pomocy której zdobył sobie doktorat w Getyndze. Okazało się, że był to plagiat dosłowny z dawniejszej jakiejś pracy, nawet tak dalece identyczny, że błędy drukarskie pozostały, do których Menagios dodał jeszcze jeden, mianowicie swój podpis własny. Otóż fejletonista *Golosu* rozprawiając się z tym panem, powiedział między innemi: „Czemu mój kochany Menagiosie byłeś tak głupim i jeszcze trochę nie zaczekałeś? Teraz, ku twemu wielkiemu zdziwieniu znaleźli się ludzie na uniwersytecie, którzy po grecku rozumieli i poznali się na tobie. Gdybyś jednak trochę zaczekał, to znalazłbyś już wtenczas ludzi wielce poważanych, ale mających dla greczyzny wielką pogardę; nie przypuszczamy bowiem, iżbyś nie wiedział, że gotuje się nowa „reforma“ uniwersytetu, nowy „Ustaw“, według którego więcej chodzić będzie o posłusznych urzędników, niż o dobrych greckich uczonych. Wtedyby nie zdjęto z ciebie maski, bo niktby po grecku nie umiał.“

Za to zamknięto *Golos* na pięć miesięcy.

Znany w literackim świecie polskim i szwedzkim Wawrzyniec hr. Engeström napisał monografję o Berzeliuszu, słynnym chemiku szwedzkim, zawierającą życiorys, tudzież historję wielkich wynalazków tego znakomitego przyrodnika. Wydanie bardzo ozdobne zawiera dwa drzeworyty, mianowicie popiersie Berzeliusza i pomnik, który Szwedzi swojemu wielkiemu ziomkowi w Sztokholmie wystawili. Możemy tę książkę polecić światłym czytelnikom.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** W liście pisanym do jednego z najznakomitszych warszawskich wydawców Kraszewski oświadcza, iż obecnie zajmie się wyłącznie opracowaniem dalszego cyklu powieści historycznych.

Cały czas i wszystkie siły poświęci wydawnictwu, które społeczeństwu swemu jako najcenniejszą rzecz swoją przekaże.

Z powieści tych drukuje się właśnie trzytomowa z czasów Leszka Białego p. t. „Waligóra“.

Następna ma nosić tytuł „Syn Jazdona“ z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego.

*** Wydawnictwo jubileuszowe.

Pisma warszaskie ogłaszają pewne wiadomości dotyczące wydawnictwa jubileuszowego p. t. „Wybór dzieł J. I. Kraszewskiego“.

Podajemy z nich niektóre szczegóły.

Papier i druk piętnastu tomów, wydanych w dwunastu tysiącach egzemplarzy, tudzież prospektu i ogólnej listy prenumeratorów kosztowały rs. 31,867 kop. 33 1/2; korekta, druk okładek, satynowanie papieru, broszurowanie, portorja itd. wynosiły rs. 5,822 kop. 49 1/1.

Razem więc wydano rs. 37,689 kop. 85.

Dochód ogólny ze sprzedaży tomów czternastu, po strąceniu rabatu 10% dla księgarzy, wykazał rs 64,049 kop. 85.

Czysty więc zysk wynosi dotąd rs. 26,360 kop. 2.

Z sumy tej wręczono Kraszewskiemu w dniu 30. września r. b. siedmnaście tysięcy rubli, oraz procent w ilości 572 rs.

W dniu zaś 25. listopada przesłano Kraszewskiemu pozostałą sumę rs. 9,360 kop. 2, oraz rs. 638 kop. 24 z naddatków.

Tak więc szanowny jubilat otrzymał dotychczas z wydawnictwa rs. 27,570 kop. 26.

Zysk ten powiększy się jeszcze zapewne, gdyż sądzimy, iż 5,687 prenumeratorów, zaległych w opłacie niektórych tomów, należność tę pospieszy uiścić.

Przybędzie też jeszcze dochód z 15go tomu, niewydanego dotychczas.

*** Dwutygodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji i lingwistyce, w zeszycie za miesiąc listopad, zawiera: 1. Wyroby ceramiczne, przez T. Ziemięckiego. 2. Rok, bóstwo Słowian, jego kapłanki i obrzędy, przez K. Świerzbieńskiego z Elisabetgradu w gub. Chersońskiej. 3. Zagony w lasach, podał Zygmunt Gloger. 4. Wiadomości.

*** Winniśmy podnieść z głośnem uznaniem ogłoszony przez redakcję Warszawskiej „Gazety handlowej“ konkurs na „Słownik ekonomiczno-handlowy“, który jest dowodem prawdziwego i głębszego zrozumienia zadania specjalnej prasy.

Redakcja ofiaruje ze swej strony rs. 200 nagrody, odwołując się do bogatszych finansistów o podniesienie tej sumy przynajmniej do rs. 600.

Oprócz tej nagrody, dochód czysty ze sprzedaży po wydaniu, w całości przeznaczony jest dla autora.

Bliższe warunki konkursu redakcja obiecuje podać w styczniu roku przyszłego 1880, po zgromadzeniu funduszu i zebraniu zdań ogółu.

*** P. Piotr Parylak, profesor gimnazjum w Stanisławowie, napisał w ostatnich czasach trzy broszury. Jedną o pieśniach Jana Kochanowskiego z uwzględnieniem poetów klasycznych, druga pt: „Kilka słów o Ojcu Zadżumionych Słowackiego“, a trzecia pt. „Mięszaniny językowe“.

*** Wyszła z druku broszura p. Tadeusza Korczyńskiego wykazująca skutki piętnastoletniej regulacji Sanu.

*** Towarzystwo bratniej pomocy uczniów krajowej wyższej szkoły rolniczej w Dublanach, ogłosiło drukiem sprawozdanie z czynności swoich za czas od d. 17. maja do dnia 26. listopada 1879.

*** W Wiedniu od nowego roku zacznie wychodzić nowe pismo pt. „Allgemeine Wiener Zeitung“. Redaktorem głównym będzie dr. Herzka. Konsorcjum złożyło na wydawnictwo pisma 500.000 złr.

*** Znany dziennik wiedeński „Presse“ (tak zwana „stara Presse“) przechodzi na własność dziennikarza-bankiera p. Adolfa Nassau.

*** Wiedeńskie ministerjum spraw wewnętrznych odmówiło debitu pocztowego wychodzącemu w Bukareszcie dziennikowi „Vitoroul“.

*** U Wiliamsa i Norgate w Londynie wyjdzie w końcu roku „Rocznik panhelleński“, zredagowany przez Sokratesa Parasykaresa; oprócz kalendarza greckiego i pewnej liczby notat, pomieszczony będzie szereg artykułów.

*** W Paryżu wkrótce ma wychodzić pismo „Gil Blas“; zapowiadają również wydawnictwo zatytułowane „Asmodée“, pod redakcją Teodora de Banville.

Sztuki piękne.

*** Wspomnieliśmy raz o rozdaniu nagród konkursowych w akademji sztuk w Petersburgu.

Wiadomo więc już czytelnikom, że kilka głównych nagród otrzymali studenci-Polacy.

Obecnie zaś uważamy za właściwe podać tutaj obszerniejsze o ich pracach szczegóły podług pomieszczonego w Petersburgskiej gazecie „Nowosti“ sprawozdania.

Czytamy tam więc, że wielkie złote medale wraz ze stypendjami zagranicznemi otrzymali za temat: „Chrystus i grzesznica“ trzej młodzi artyści: pp. Wiesiołowski, Popow i Askinazi.

Oto co mówi o pierwszym krytyk:

„Weźmy pierwszą. według mniemania większości najlepszą ze wszystkich nagrodzonych pracę p. Wiesiołowskiego.

„Wszystko w niej wykonane z taką starannością, jasnością i tak trafnym wyborem akcesorjów, tak bez zarzutu narysowane i namalowane, że trudno sobie nawet wyobrazić obraz bardziej skończony.

„Dalej, dwa typy faryzeuszów przedstawione tak dobrze, charakterystycznie i zgodnie z rzeczywistością. że już za te dwa typy możnaby panu Wiesiołowskiemu dać złoty medal.

„Dostacznie one mówią, że mamy do czynienia z pędzlem mistrza w swym zakresie, z pędzlem prawdziwego artysty.

„Grzesznica“ p. Wiesiołowskiego twarzą i postacią wyraża zupełną skruchę i wstyd za przeszłość, a więc zupełnie odpowiada legendzie; lecz Chrystus na obrazie pana W., na nieszczęście, mniej dobrze jest wykonany.

„Jest to tylko człowiek i to człowiek, w rysach którego nie ma życia, nie ma ciepła i myśli.

„Jednakże, jeżeli z dzieła p. Wiesiołowskiego wykluczyć postać Chrystusa, która zupełnie się nie udała, to można je będzie uważać za jedną z najlepszych prac, jakie w ciągu 8 lat wydała akademja.“

Dość pochlebnie także odzywa się sprawozdawca o następnych z kolei, zaszczyconych również złotemi medalami utworach pp. Popowa i Askinazi, oraz o nagrodzonej drugim medalem pracy pana Chapałowa.

„Za zupełnie inny rodzaj malarstwa, pejzaż — mówi dalej sprawozdawca — złoty medal otrzymał pan Kraczkowski.

„Już przy pierwszem wejrzeniu na obraz, widz przekonać się może, iż ma do czynienia z dużym i wybitnym talentem; takiego ciepła, tak znakomitego i artystycznego przedstawienia natury nie widzieliśmy już dawno.

„Pomimo, że krajobraz p. Kraczkowskiego nie przedstawia ani skał Kaukazu, ani malowniczego widoku krymskiego, lecz tylko zwykłą niziną, bez względu jednem słowem na przedmiot pospolity, obraz wywołuje ze strony widza okrzyk: ach! jak tu miło, jak przyjemnie!

„Nie można też nie zauważać, że artysta włożył w obraz wiele ognia, siły i uczucia.

„Ileż życia w całem wykonaniu, ile gracji, uczucia, rozumu i godności!

„Koloryt pejzażu jest zupełnie jasny, czysty i naturalny.

„Obraz p. Kraczkowskiego tchnie prawdą i nie podlega żadnym zarzutom; zgodzilibyśmy się najzupełniej na zdanie jednego z widzów, że obrazowi temu można dać miano: „życie i natura“.

„Przekonani jesteśmy, że p. Kr. na polu Salvatora Rosy i Ruysdaela pozyska głośne imię.

„O ile nadzieje nasze są uzasadnione, przekona niedaleka przyszłość; w każdym razie z pomiędzy kończących w r. b. akademję, p. Kraczkowskiemu należy się bezwątpienia palma pierwszeństwa“.

Sprawozdawca wspomina dalej o miłych krajobrazach pp. Ładyżyńskiego i Muraszki.

Rodzajowe obrazki dali pp. Bohdanow, Kuźmin, Szczetnin; dekoracyjne pp. Romanow, Jakowlew i Plawski.

Z pomiędzy prac studentów niższych klas akademji sprawozdawca „Nowosti“ zwraca jeszcze uwagę na utwory pp. Kotarbińskiego i Roztworowskiego, wróżąc im przyszłość.

O pierwszym mówi: „studjum pana Kotarbińskiego, przedstawiające nagiego zamyślonego bruneta w latach średnich, można uważać nie za ćwiczenie studenta, lecz za wyborny obraz, który pięknie przyozdobi galerję każdego znawcy“.

Sprawozdawcy podobała się także kompozycja p. Roztworowskiego „Kleopatra“.

„Jestto wykonane tak efektownie, pięknie i sympatycznie, że trudno doprawdy uwierzyć, ażeby był to utwór dopiero co rozpoczynającego studja młodzieńca; akademja zaszczyciła wiele obiecującego autora „Kleopatry“ dwoma medalami srebrnemi, my zaś z naszej strony winszujemy artyście wybitnego talentu“.

Teatr.

*** Na odbytem 2. grudnia posiedzeniu komisji konkursowej poznańskiej odrzucono następujące sztuki: „Do czasu“ — „W Ameryce“ — „Zubożali“ — „Klub w miasteczku“ — „Łowy na wiano“ — „Spadek w Ameryce.“

*** Wkrótce na scenie Pragskiego teatru narodowego ukazać się mają „Horsztyńscy“ Słowackiego, w przekładzie L. Haworki.

*** Jeden z rodaków naszych zamieszkałych w Medjolanie zapewnia nas, iż Verdi pracuje obecnie nad partyczą nowej opery.

*** W Dreznie przedstawiono z nadzwyczajnem powodzeniem najnowszą operę Ignacego Brülla p. t. „Bianca.“

*** Patti rozpocznie swoje występy w dniu 14 lutego w teatrze Gaitè. Na pierwszy występ zapowiedziano „Trawiatę“. Abonament podpisany przekracza już obecnie sumę 400.000 franków.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** „Gazeta polska,“ wychodząca w Warszawie od wielu lat, jak się dowiadujemy z końcem stycznia 1880 r. ma zaprzestać wychodzić. Okazuje się, że i w Warszawie nie tak świetnie stoją pisma jak z pozoru się zdaje. Drukowstręt panuje u nas powszechnie. Co do „Gazety polskiej“ to publiczność miała się zrazić do tego pisma z powodu zbyt jaskrawego popierania interesów żydowskich.

*** Presse pomieszcza następujące urzędowe zawiadomienie państwowego sekretarza rzeczypospolitej San Marino: „Podpisany upoważniony jest do oświadczenia, iż rozsiewane przez dzienniki pogłoski, jakoby rząd San Marino zezwolił na urządzenie na swem terytorjum domy gry, są pozbawione zupełnie podstawy. Oprócz tego piszący umocowany jest do zawiadomienia, iż naczelna rada rzeczypospolitej suspendowała pana komandora P. Malpel z godności jenerała i komendanta milicji i przeciw niemu nakazała wytoczenie sądowego śledztwa za udział w pomaganiu do zawichrzeń, celem uzyskania pozwolenia przeciw wyraźnej woli rządu i kraju na otwarcie rzeczonego domu gry. Guiliano Beluzzi.“

*** Konkurencja Ameryki. Dla nas, jako dla kraju specjalnie ziemiańskiego, którego materjalny dobrobyt opierał się i opiera w bardzo znacznej części na wywozie surowych produktów roli na Zachód, nie może być wcale obojętną konkurencja Ameryki w dostarczaniu Europie tego rodzaju wytworów.

Konkurencja ta z dniem każdym, dzięki ułatwieniu środków komunikacji, potężnieje, a wzorowe gospodarstwa przedsiębiorczych yankesów na dziewiczych do niedawna obszarach potężnej Ameryki grożą zbożu wschodniej Europy wyrugowaniem z rynków Zachodu.

Jest to więc kwestja ekonomiczna wielkiej wagi, jak dla europejskich krajów rolniczych.

Gazety zagraniczne niejednokrotnie już ją poruszały, żądając środków zaradczych.

Dla przeciwdziałania Ameryce należy najpierw poznać dokładnie siły jej produkcji, następnie zaś starać się nam samym o zwiększenie potęgi naszej wytwórczości przez zastosowanie jak najintensywniejszego gospodarstwa.

Zaznaczając tylko ogólnie, że w kraju naszym, zaniedbanym pod tym ostatnim względem i na niskiej stojącym stopie, obecnie robi się jednak sporo dla postawienia w racjonalniejszych warunkach gospodarstwa, czego wyrazem jest choćby spółka rolna w Lubelskiem, — względem pierwszego, to jest wytwórczości Ameryki, pragniemy podać tutaj kilka godniejszych uwagi dat.

Idzie nam mianowicie o siłę wzrostu wywozu zaatlantyckich produktów rolnych do Europy, a co za tem idzie i rozwój produkcji ziemiańskiej w Ameryce.

Cyfry więc wskazują nam, że wywóz ziarna pszenicznego z północnej Ameryki do Europy od roku 1847 do 1876 wzrósł z 818,000 angielskich centnarów do 29,500,000, eksport zaś kukurydzy z 6,500,000 do 24,500,000.

Największy przyrost wywozu spostrzegano w ostatnim dziesiątku lat; tak np. wywóz pszenicy, który w przeciągu 1866—70 wynosił średnio na rok po 8,746,000 centn., dosięgał przeciętnie 24,000,000 ct. rocznie w latach 1871—1875, eksport zaś kukurydzy z przeciętnej cyfry rocznej 4,800,000 ct. w latach 1866—1870 podrósł do 14,615,000 ct. średnio na rok w przeciągu 1871—1875.

Od r. 1875 wywóz zwiększa się ciągle, ehociaż z małemi wahaniami, stosownie do urodzajów i popytu w Europie.

W każdym razie cyfry powyższe świadczą, że produkcja rolna północnej Ameryki potężnie wzrasta i że posiada ona olbrzymie zapasy, któremi zalewać może w chwili stanowczej Europę.

Ziarno zaatlantyckie spożywane jest głównie w Anglji, prócz tego w drobniejszych tylko ilościach we w Francji, Niemczech, Holandji i Szwecji.

Ażeby dać miarę, jak gwałtownie ruguje Ameryka Europę z rynków rolniczych, przedstawiamy tutaj cyfry wywozu ziarna zaatlantyckiego do Anglji, która, jak rzekliśmy, główny prowadzi handel z yankesami.

W Brytanji przywóz pszenicy od r. 1849 wzrósł z 468.000 ct. do 13,000.000 ct. w r. 1871 i do 29,000.000 ct. w 1878, przywóz zaś kukurydzy z 5,000,000 w r. 1849 do 7,000,050 w 1871 i do 25,500,000 w 1878.

Tutaj najwidoczniejszy jest gwałtowny przyrost przywozu w ostatnich szczególniej latach.

Obecnie Anglja kupuje pszenicy amerykańskiej pięć razy więcej aniżeli niemieckiej i trzy razy więcej niż rosyjskiej, podczas gdy jeszcze niedawno Niemcy i Rosja z Polską były głównemi dostarczycielami pszenicy dla Wielkobrytanji.

W przybliżeniu przed laty dziesięciu Stany Zjednoczone dawały 22% ogólnego importu ziarna do Anglji. Rosja zaś 33% obecnie (rok 1878) stosunek ten o tyle się zmienił, że na Rosję wypada zaledwo 18%, gdy na Stany Zjednoczone 58%.

Wobec tego miano „śpichrza Europy“, dziś na banderze swej wypisać może Ameryka.

Ciekawe są również dane dotyczące wywozu z Ameryki bydła, mięsa i produktów zwierzęcych.

Niedawno jeszcze wielkie stada bujające po olbrzymich łąkach Ameryki dla handlu zagranicznego nie przedstawiały żadnej wartości oprócz skór, włosów i szerści; mięsa i tłustości nie umiano, ani nie opłaciło się transportować.

Zdołano jednak zwyciężyć trudności techniczne i obecnie coraz bardziej wzrasta przywóz do Europy zaatlantyckiego sadła, solonego, wędzonego i konserwowanego mięsa wołowego i wieprzowego, masła i sera, wreszcie nawet świeżego mięsa i żywego bydła; jak oaecnie produkta mięsne są wprowadzane prawie wyłącznie do Anglji.

Niedawno jeszcze, prawie że w roku 1870, w Ameryce olbrzymie zapasy mięsa były wprost niszczone, jako nie posiadające żadnej wartości; cielęta zabijano tam zaraz po urodzeniu, a wyborną wołowinę obracano na.. nawóz.

Handel i przemysł.

*** W roku 1880 ma być urządzona wystawa przemysłowa Poznańskiego i Prus zachodnich.

*** Paryska wystawa umiejętności mających w przemyśle zastosowanie zostanie zamkniętą w dniu 25. b. m. Koszta jej urządzenia wyniosły 500.000 franków, a dochód z wystawy spodziewany jest w sumie najmniej 600.000 franków. Wystawcy dadzą w grudniu bal na korzyść szkół rękodzielniczych.

*** Konferencja delegatów bawarskiej izby przemysłowej i handlowej, na której był obecny reprezentant rządowy, uchwaliła odbycie w Norymberdze w roku 1882 krajowej wystawy przemysłowej i rękodzielniczej.

„Ajencja Havasa“ ogłasza: Międzynarodowa wystawa sztuk i przemysłu odbywać się będzie w Melbourne od 1go października 1880 do 31. marca 1881. Zgłoszenia się o wzięcie udziału mogą być nadsyłane do Londynu do 31. grudnia r. b. Kilka komisyj narodowych już się utworzyło; dyrekcja wystawy odda im place przeznaczone dla każdej narodowości, a one będą umocowane do rozdziału miejsc między różnych wystawców odnośnych narodowości.

*** Dla amatorów szampana złe nowiny!

Jak się dowiaduje „Times., od lat 60 nie pamiętają w Szampanji takiej biedy, jak tegoroczna.

Ani jedna flaszka wina nie weszła w tym roku do piwnic...

Straty dla właścicieli winnic są ogromne, liczą je na 25 do 30 miljonów franków podług ostatniego oszacowania.

Winogrona nie dojrzały, zebrano je tylko dla tego, aby winnice przygotować na przyszły rok.

W Szampanji znajduje się teraz 72 miljonów flaszek dawnego wina, z których 30 do 40 mil. butelek należy do większych firm.

Reszta jest wątpliwej dobroci, lecz będzie rozkupiona, ponieważ każdy obawia się skutków złego roku.

Wywóz prawdziwego szampańskiego dochodzi 18 do 20 miljonów flaszek rocznie; teraźniejszy więc zapas wystarczy na rok 1880 i 1881.

Gdyby przyszły rok był zły, to wszystkie większe domy w Szampanji, które sprzedają prawdziwe szampańskie, musiałyby jąk tam mówią, „zamknąć budę“.

Dotąd cena wina nie została jeszcze podniesiona.

Domy najsławniejsze, jak Werlé (marka jego „Veuve Cliquot), Roederer dawno znany, Pommery i Greno także cieszący się zaufaniem i sławą, Irroy, który posiada największe obszary winnic, Moet tak lubiony na stałym lądzie i wiele innych, postanowiły w interesie całego departamentu nie podwyższyć ceny, albowiem liczba konsumentów mogłaby się zmniejszyć.

Werlé posiada trzy miljony flaszek, Roederer tyleż, Pommery, Greno i Irroy trochę mniej niż trzy miljony na każdego, ale Moet ma 5 do 6 miljonów.

Wszystkie te firmy dostarczą wina na rok 1880 i 1881, nie podwyższając cen, które dopiero po przyszłorocznych zbiorach będą mogły się zmienić.

Jednak konsumenci mogą je do podwyższenia zmusić. bo żądania coraz się zwiększają głównie z Anglji, gdzie się obawiają braku tego wina.

Obawy te jednak są na teraz bezzasadne i nie powinny nikogo niepokoić; wszystko zależeć będzie od zbiorów przyszłorocznych.

Kupcy nie potrzebują się obawiać podniesienia cen i nie powinni, bo gdy nagleniem swem zmuszą firmy w Reims do podniesienia ceny, to cena raz podniesiona nie spadnie więcej.

Zbiór tego roku w Gironde (Bordeaux) już skończony i dał ledwo czwartą część zwykłego co do ilości; jakość też bardzo zła.

SALON PANI SENATOROWEJ.

Jednym z najpotężniejszych i najświetniejszych dziś salonów w Paryżu jest dom pani Adam, wdowy po senatorze, znanej pod pseudonimem Julji Lamber autorki i publicystki.

Słowa i wpływ salonu pani Adam na boulevard Poissoniére rosły stopniowo od lat dziesięciu; dzisiaj on stał się wszechwładnem ogniskiem republikańskiego radykalizmu.

O gospodyni domu, będącej duszą tygodniowych wieczorów, ognistej republikance, która, jak druga pani Roland, umiała zgromadzić dokoła siebie wszystko, co genjuszem lub talentem wyrasta z poziomu kół republikańskich, znajdujemy ciekawy feljeton w jedem z pism niemieckich, który pragniemy podać w streszczeniu.

A to tem bardziej, gdyż pani Adam wzmogła nie poślednio swoje tytuły do powszechnego zajęcia, odkąd stanęła na czele nowego przeglądu Paryskiego „Nouvelle Revue,“ mającego robić konkurencję starej sławie pisma Buloza.

Jako młoda małżonka starzejącego się już, ale krzepkiego jeszcze i świeżego na umyśle finansisty Edmunda Adama, otworzyła ona już za czasów cesarstwa salon, w którym zbierał się żywioł republikańskiej opozycji.

Tu schodzili się wszyscy, którzy bonapartyzmowi poprzysięgali wówczas nieprzyjaźń i „vendettę“ — tu widziałeś Juljusza Favre, Juljusza Grevy, Juljusza Simona, ową „trójcę Julijską republikańkiej falangi, w poufałem zetknięciu z czerwonym Gambettą i zaciętym „człowiekiem latarni“ Rochefortem

Pomimo odcieni, podówczas więcej psychologicznych, niż politycznych. wierzyli oni wszyscy w koniec cesarstwa i nową erę swobody.

Nawet stary Adam, zamożny sekretarz jeneralny w „Comptoir d' Escompte“, z miłości dla swej politykującej żony, napoił się politycznemi drażliwostkami i przysłuchując się w swym salonie rozmowom nowożytnych greków, dumał skrycie nad tem, czy potrafiłby on jeszcze zostać republikaninem?

Sedan położył kres cesarstwu i republika wyłoniła się na jaw z obsłonek poetycznych wizyj.

Favry, Gembetty, Rocheforty zasiedli teraz u szczytow.

Panią Julję w dniu 4. września, po ucieczce cesarzowej Eugenji, wyniesiono na tron regencji.

Jedno jej słowo wystarczało, aby minister rzeczypospolitej tak postąpił, jak pani Adam zażądała.

U niej to współcześni Peryklesy i Kleony po trudach i gorączkach dnia znachodzili ochłodę skroni i ducha.

Gdy raz towarzystwo — w pierwszych jeszcze dniach upojenia o późnej godzinie upuściło salon Juljetty, weszła „regentka“ z dumnym uśmiechem do pracowni męża i rzekła mu:

— Te voilà préfet!

Poczciwy finansista ani nie przeczuwał, że ambitna małżonka przeznaczyła go na kłopotliwą godność prefekta Sekwany.

Po śmierci męża, który następnie otrzymał fotel senatora i pozostawił dzielnej wdowie znaczny majątek, pani Julja na świetniejszą jeszcze stopę urządziła swoje salony i przyjęcia.

Rzec można, że wszystko, co dzisiejsza rzeczpospolita liczy wielkiego w zakresie polityki, sztuki i literatury, spływa się i komunikuje z sobą w salonie pani senatorowej

Gambetta, Clémenceau, Lockroy, Wiktor Hugo, Ludwik Blanc, Emil de Girardin, należą dziś do najbliższych przyjaciół domu i najregularniejszych gości.

W każdą środę zimowego sezonu wieczorem po wystawnym obiedzie odbywa się tu wspaniała recepcja; każdy gość, przedstawiony raz pani domu, nabiera wedle paryskiego zwyczaju, stałego prawa do bywania na wszystkich recepcjach.

Zanim jeszcze pani Adam, oparta na ramię jednego z przyjaciół, pojawi się w salonie recepcyjnym, gromadzi się tu już dostojne grono gości, wzmagające się coraz potężniejszą falą z każdą minutą.

Niejeden z poufalszych anonsuje się dopiero o północy, ażeby w półgodziny dowiedzieć się tu o wszystkiem, co mówi Paryż, co myśli Francja.

Wszak tu są obecni: minister Leroyer ze swym kolegą Lepére, prefekt policji Andrieux, mały „bonvivant“ i matador prasy paryskiej, Emil de Gerardin, tu księgarz Hetzel, rozmawia w gronie kilku literatów; tam jenerałowie Aymar, Andlan i Reinach złożyli małą radę wojenną we frakach, a jenerał Türr zaledwo przybył do Paryża, pośpieszył coprędze do pani Julji.

Ta energiczna i bogato uposażona umysłowo kobieta, jako Julja Lamber, łamała niegdyś zwycięskie groty w polemice z Proudhonem o prawa kobiece.

Następnie pojawił się jej: „Dziennik paryżanki“; są to szkice z czasów oblężenia stolicy, nacechowane bystrością spostrzeżeń, przenikliwym wzrokiem politycznym i gorącym patryotyzmem.

Od 1-go października pod redakcją jej wychodzi w grubych zeszytach dwutygodniowych: „La nouvelle Revue.“

Już w pierwszym zeszycie tego wolnomyślnego i demokratycznego pisma spotykamy się z niejednym z jej starych przyjaciół i starych gości pomiędzy współpracownikami: Ferdynandem Lessepsem, jenerałem Türr, panią Gréville i innymi.

Treść Nr. 46. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.